Kurjer literacko naukowy

ROK III. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 53

Dzieła chłopa-mocarza

Obok Albigowej za wzorową wieś polską w naszej części kraju uchodzi od pół wieku Handruchówka w powiecie łańcuckim. Mała ta miejscowość, nie licząca nawet 2.000 mieszkańców, słynie szeroko, jako jedno z najbardziej uroczych osiedli. Handruchówka, przed pięćdziesięciu laty, to obraz nędzy i ciemnoty. Ani szkoły tu, ani domu gminnego, a kościół parę wieków liczący, chylił się coraz mocniej ku ziemi. Władza wsi wójt - analfabeta, a jego totumfackim, pisarz gminny Żyd., w którego karczmie wszystkie odbywały się zebrania, czyto zarządu gminnego, czy wyborcze. W wódce żydowskiej topiono i rozum i dobytek, a każdy przednówek stawał się z roku na rok coraz poważniejszą klęską. Na te właśnie smutne czasy, przypada początek działalności chłopa - mocarza, Franciszka Magrysia z Handruchówki.

Niezwykle ciężkie było od samego dzieciństwa życie Magrysia. Urodzony jeszcze w dobie pańszczyzny, bo 23 września 1846 roku, zawsze w domu pamiętał głód i biedę, która była zresztą udziałem całej wsi. Wydane w roku 1932 „Pamiętniki" dokładnie i barwnie odmalowują to całe, smutne zaciemnione tło, towarzyszące całemu jego życiu. Po śmierci ojca, dostał się niedługo w tyranję drugiego męża matki. Zimę całą spędzał na napiecku, a dopiero wiosną nadchodziło częściowe wyzwolenie, kiedy mu kazano pędzić w pole bydło. Chleba zawsze brakło, a już radość panowała w domu wielka, gdy ojczym zwłaszcza w poście, kupił czasem bobu, który jedzono w karczmie. Miał zaledwie 6 lat, kiedy go matka zaczęła uczyć czytania. Po zgonie ojczyma zabrał się z bratem do tkactwa i właśnie to zajęcie pozwala mu przez szereg lat utrzymywać siebie i matkę z młodszem rodzeństwem. W wolnych od ciężkiego zajęcia chwilach czyta i czyta. Horyzont myśli mu się rozjaśnia, ale równocześnie w całej smutnej grozie, objawia mu się nędza i ciemnota współziomków. Kmiecie z Handruchówki, choć mieli po 20, 30, a nawet 50 morgów gruntu, cierpieli biedę, bo nie znali racjonalnej uprawy roli. Mleko było niemożliwe do picia i masła nigdy niemal nie zdołano z niego zrobić. Ludziska widzieli w tem czasy, a tu tymczasem trzeba tylko było trzymać mleko w czystych naczyniach. Była to również epoka kołtuna. Nawet lekarze kazali kołtun zapuszczać, to też w Mandruchówce każda baba i każdy chłop z „urzędu" tę piękną ozdobę głowy hodowali. Podobnie było z upuszczaniem krwi, radykalnym lekiem na wszystkie choroby. Pijaństwo toczyło całą wieś.

Najpopularniejszem przysłowiem tych smutnych czasów było powiedzenie: „Kto karczmę minie, ten nogę wywinie". Po śmierci matki Magryś się ożenił. Źle jednak trafił, bo niemal od ślubu zapadła mu żona na ciężką chorobę umysłową. Dwoje jego dzieci z tego powodu traci życie, a przecież widzimy, że jest to najbujniejszy okres jego działalności. 19 marca 1874 roku, po przepędzeniu Żyda - oszusta, zostaje nasz działacz pisarzem gminnym.

Mały i skromny to urząd, a jednak jak wielkich potrafił na niem Magryś dokonać czynów. Po nominacji za nic w świecie nie chciał urzędować w karczmie, tylko wynajął lokal u organisty, a w parę lat później doprowadził żelazną energią do budowy domu gminnego. W tym czasie nawiązuje kontakt z ks. Stojałowskim i zaczyna pisywać do Wieńca-Pszczółki Magryś decydował o obliczu politycznem swych okolic. Sam się nie wysuwał, — ale od niego wybór posłów zależał.

Doceniał Magryś w całej pełni niebezpieczeństwo żydowskie, to też kiedy część Handruchówki z rąk Niemca przeszła w posiadanie żyda, zgromadził kapitały i przy pomocy niewinnego, ale skutecznego fortelu, duży szmat jej ziemi zakupił dla sąsiadów i siebie. Z arendarzami tak długo walczył, dopóki się z jego wsi nie zabrali. Dziś Handruchówka dzięki Magrysiowi, nietylko nie posiada karczmy, ale nawet ani jednego Żyda. 24 sierpnia 1889 przybył do wsi nowy wikary, a niedługo proboszcz ks. Władysław Krakowski. Magryś pozyskał go dla swoich zamysłów i odtąd Handruchówka rośnie poprostu w oczach. Popatrzmy na dalsze dzieła tych dwu ludzi czynu i nieustającej energji. Zaczyna się to od szkoły. Zrazu ks. wikary uczy dzieci u siebie w izbie, Magryś jednak doprowadza wkrótce do wybudowania szkoły. Za szkołą idzie budowa solidnej drogi przez wieś, za drogą kółko rolnicze, za kółkiem Kasa Stefczyka, a dalej wielki wysiłek budowy nowego kościoła. Tymczasem w roku 1906 niestrudzony ks. Krakowski za-



Fr. Magryś w 55 roku życia

pada na zdrowiu i umiera. Magryś się troi i kościół wykańcza. Czyny jego nie znają jednak końca. Zaniedbania dziesiątek lat odrabia jeden mały z urzędu człowiek czyniąc ze swej wsi warownię ducha i siły polskiej. W roku 1908 przy współpracy nowego proboszcza ks. Krzyżaka, organizuje Magryś budowę plebanji i nowej szkoły, a w rok potem doprowadza do założenia spółki mleczarskiej. Tuż przed wojną, dzięki Magrysiowi, otrzymuje też Handruchówka kredyty na budowę nowych mostów Wojna w części niweczy wielkie dzieła. Także w pozycji Magrysia następuje zmiana. Przestaje być sekretarzem gminnym. Powoli wraca Handruchówka do dawnej świetności ekonomicznej. Gorzej jest jednak z jednolitością wsi. Po roku 1926 następuje rozdwojenie. Magryś, który w służbie dla Polski nigdy nie ulegał żadnej doktrynie, z żalem spostrzega, jak wrogowie usuwają jego portret z sali domu ludowego i jak niszczą budynek ze sceną w parku zabawowym, ofiarowanym przez Magrysia młodzieży. W roku 1928 krzywdy te twórcy nowoczesnej Handruchówki zostały naprawione. Portret wraca na dawne miejsce, park odzyskuje poprzednie oblicze, a Magryś otrzymuje skromne odznaczenie.

Odtąd usuwa się w cień. Zresztą swoje zrobił. Pijaństwo zwalczył, Żydów usunął, z wsi ciemnej i przymierającej głodem, uczynił wzór osiedla chłopskiego. Skoro wnikniemy w warunki w jakich Magrysiowi przyszło działać, to zgodzimy się na obdarzenie go mianem chłopa - mocarza.

Magryś posiadał dużą umiejętność pisania. Bibljografja jego artykułów i wierszy obejmuje 114 pozycyj. Umarł budowniczy Handruchówki 31 maja br. w pełnej przytomności, po przeżyciu 87 lat życia. Półwiecze jego pracy, to nowy kościół, plebanja, dwie szkoły, dom gminny i ludowy, Kasa Stefczyka, park zabawowy (!) dla młodzieży, parę mostów i drogi, a przedewszystkiem przeobrażenie ciemnej masy, w świadomą cząstkę społeczeństwa. Nasuwa się nakoniec uwaga, że gdyby wioskami polskiemi Magrysie rządzili, to problem wewnętrznego odrodzenia Polski byłby szybko rozwiązany. Jak dotąd jednak, tacy jak on, zjawiają się po wsiach niezmiernie rzadko. Może jednak w wolnem państwie zrodzi się więcej, równie świetlanych postaci. Może nadejdzie jeszcze pokolenie nowych Magrysiów.

Włodzimierz Bilan

Z notatek o „Cyganerji lwowskiej"

Zwolna dźwigało się życie galicyjskie z toni narazmu i ogólnego przygnębienia. Blady świt wolności roku 1848, który zaledwie krańcem swojej łuny zabłysnął na ponurym horyzoncie politycznej sytuacji Galicji, skoro zgasł, głębiej pogrążył ducha narodu w odrętwieniu. Nie na długo jednak. Już z początkiem lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, spory zastęp utalentowanych, młodych duchów, w zatęchłą atmosferę zastoju, wprowadzać zaczął dużo fermentu i wrzawy, dużo szlachetnych myśli i zamierzeń. W jego ręku znalazł się teraz pieczołowicie od czasu utraty wolności, przechowywany z pokolenia w pokolenie, tlejący znicz samodzielnego bytu. Wątłym zrazu migocący płomykiem zaczynał jaśnieć. Biegu zaś wypadków historycznych nie mogło zatrzymać w pędzie, żadne, nawet drakońskie rozporządzenie władz austrjackich.

Cyganerja lwowska, owa czynna i żywa poprzedniczka „Młodej Polski", tętniąca brawurą kresowego miasta, łamiąca kruche obręcze konwenansów i przesądów, — tworzyła prawdziwą demokrację polską XIX wieku. Grupująca w swem łonie najznamienitsze talenty epoki, w której działała, pozostawiła po sobie legendę, trwale zapisaną na kartach czasopism lwowskich, wyczekującą zdawiendawna miłującego biografa, któryby ją zdołał wskrzesić i należycie opracować. Potężny ruch umysłowy, jakiego w tym czasie żadna z dzielnic Polski nie miała, tu we Lwowie, szumiał potęgą wezbranego potoku górskiego, niszczącego piętrzące się zapory i szerokiem korytem rozlewającego się po wyschłej, a spragnionej glebie galicyjskiego życia narodowego. Siłą jego było rozgałęzione czasopiśmiennictwo, środkami — doborowe pióra współpracowników, potęgą — zapalne, gorące serca i entuzjazm dla sprawy narodowej. Od **„Dziennika Mód Paryskich"** do radykalnej **„Czytelni dla młodzieży"** Cieszewskiego i tajnej **„Prawdy"** (1863) — skala dosyć rozpięta. Jej stopniami **„Gazeta narodowa"** (1848), **„Dziennik literacki"** (1854-5) pod redakcją Szajnochy, **„Nowiny"** (1855-6) i na nowo do życia powołany **„Dziennik literacki"** (1856 — 1870) pod kierunkiem wytrawnego i doświadczonego sternika, **Jana Dobrzańskiego**.

Burzyła mocno nawierzchnia życia lwowskiego, kiedy doborowe grono młodych zapaleńców, wytrwałych strażników radykalnych przekonań, związawszy się mocnemi węzłami przyjaźni, szerzyć zaczęło poglądy, które zczasem doprowadziły do pozytywizmu. A trzeba podkreślić, że z łamów **„Dziennika literackiego"** wcześniej znacznie posypały się **strzały na romantyzm, aniżeli**

„Przegląd tygodniowy" Wiślickiego uformował **„tyraljerkę pozytywistów"**.

Mecenas literatury „uprzywilejowany dzierżawca drukarni zakładu Ossolińskich" **Wojciech Maniecki**, wydawca „Dziennika literackiego" (1854—1855) przy pomocy **„króla Jana"**, jak Lam Dobrzańskiego nazwał, dbał by szpalty „Dziennika" ozdabiały nazwiska znanych piasrzy lwowskich· **Szajnocha, Łobeski, Dobrzański, Łoziński** i inni drukowali tu szereg cennych artykułów, które dużym cieszyły się rozgłosem. Krótko utrzymał się „Dziennik literacki". Z chwilą kiedy przestał wychodzić, Dobrzański założył „Nowiny". Pod sztandary nowego pisma schroniła się teraz gromadka, mocno rozczochrana — jeszcze więcej utalentowana, młoda i pełna zapału. **Zacharjasiewicz, Ujejski, Romanowski, Zmorski, Pawlikowski, Wolski, Kostecki, Karpiński, Pajgert, Bielawski, Starkel Łoziński — oto trzon cyganerji lwowskiej**, która swe siły w służbę poezji i prozy oddała. Każda z tych postaci to synonim stanowczej walki z bezdusznością i martwotą ówczesnego społeczeństwa. **Każde wspomnia'ne nazwisko to osobny rozdział historji kulturalnego Lwowa**·

Wystarczy przejrzeć pożółkłe karty wspomnianych czasopism, aby przekonać się o wartości utworów, któremi rysowano własne oblicza i profile. Wyraziste· energicznemi pociągnięciami ołówka kreślone, dziwnie zatarły się w pamięci ludzkiej i w zapylonym lamusie, zasnute nicią pajęczej siatki zapomnienia, legły na długi okres czasu.

Pewien chaos poglądów i dążeń, jaki przejawiał się w ogólnej wytycznej, brak skrystalizowanej myśli, około której obracać się powinny zainteresowania całej lwowskiej cyganerji, nie mało także przyczyniły do jej zapomnienia·

W „zapomnienia zbrodnię" poszła ciekawa nad wyraz postać ofiary sądownictwa austrjackiego, redaktora **„Czytelni dla młodzieży" — Karola Cieszewskiego. Przypuszczalny autor artykułu „Porozbiorowym szlakiem"**, niemało kłopotów przysporzył swoją „Czytelnią" władzom zaborczym· Cień, przesłaniający jasną drogę Cieszewskiego w budzeniu ducha narodowego — to pojedynek z Walerym **Łozińskim**, którego tragicznym epilogiem była śmierć twórcy „Zaklętego dworu". A trzeba wiedzieć, że pojedynki, były wśród literackiej braci Lwowa **zjawiskiem nader częstem. Nie jest też tajemnicą**, że Łoziński na parę miesięcy przed otrzymaniem z ręki Cieszewskiego ciężkiej rany głowy, pojedynkował się aż dwukrotnie z **Janem Dobrzańskim**. Raz wymienił z nim kule (około 8 czerwca 1860) w Medyce, majątku Pawlikowskiego, drugi raz rąbał się z nim na pałasze we Lwowie (22. 6. 1860). Ale i najspokojniejszy i najbardziej może zrównoważony z całej gromady pokrewnych dusz, **Mieczysław Pawlikowski** wyzwał oficera austrjackiego na sąd boży, za obelgi rzucone pod adresem narodu polskiego. Pojedynek na szablę (grudzień 1854) skończył się sromotną porażką dla przedstawiciela znienaw'dzonych przez młodzież huzarów. Cyganerja lwowska nie znała żartów, gdy chodziło o **honor narodu i godność osobistą**. Każdy „cygan" równie zręczn'e władał szablą, szpadą i piórem. Wszyscy niemal przeszli dobrą szkołę szermierki, sławnego w owym czasie **Marie'go. — Mieczysław Romanowski**, poeta · żołnierz był mistrzem w szermierce i chętnie składał się z przyjaciółmi w Medyce. Tu niejednokrotnie ciszę skwarnego dnia letniego przerywał szczęk białej broni i niejedna błyskawica lśniącego rap'era rozświetlała podcienia pałacu medyckiego.

Cygnerja lwowska wiodła życie bogato urozmaiconej młodości· Istnienie jej w latach 1852—1863 było łagodnem przejściem z wysokich szczytów romantyzmu do nizin pozytywizmu polskiego.

Historja cyganerii lwowskiej to zarazem historja lwowskich czasopism literackich z przed roku 1863, gdzie nietylko kuto nowe oblicze literatury, ale gdzie także sycono iskrę, zapalającą serca powstańców.

Przemyśl, w grudniu.

St. Sierotwiński·

Walka rządu chińskiego z tradycją

W tych dniach rząd chiński wydał nakaz obcięcia warkoczy wszystkim mężczyznom w całem państwie. Równocześnie ukazał się zakaz zniekształcania nóg niemowlętom.

Do obu tych uchwał rządu nankińskiego mają się zastosować Chińczycy najpóźniej do dni trzydziestu pod groźbą surowych kar i grzywn. O ile drugie postanowienie rządu jest zupełnie racjonalne i zrozumiałe dla Europejczyków, o tyle pierwsze może w nas zbudzić zdziwienie. Dlaczego to warkocz zdobiący głowę Chińczyka, nagle teraz znalazł się w niełasce? Dlaczego burzy się odwieczną tradycję, która zna'azła w XVIII wieku oddźwięk w Europie, kiedy to harcopfy były szczytem elegancji mężczyzn? — Odpowiedzi na to pytanie nie można streścić w jednem zdaniu.

Pierwszy zakaz noszenia warkoczy wydał rewolucyjny rząd chiński przed kilkunastu laty w dobie gremadnego wydawania dekretów mających udowodnić i podkreślić społeczeństwu dokonanie przewrotu. Nie wielu zastosowało się do zakazu. W miastach zresztą już poprzednio inteligencja i bogatsi zarzucili dawny zwyczaj. Nie stosowano też kar wobec opornych, gdyż związki fryzjerskie zwróciły się z prośbą do władz o złagodzenie zakazu, które go bezwzględne wykonanie podcięłoby ich egzystencję. Handel bowiem jedwabistymi, długimi warkoczami przy nosił pokaźny dochód zakładom fryzjerskim. Fryzjerom sprzyjała też częsta zmiana rządu, walki generałów i targi gubernatorów, oraz zbrojne zatargi z Rosją Sowiecką i Japonją — a wszystkie te okoliczności łącznie odsuwały na dalszy plan dopilnowanie zakazu noszenia warkoczy przez odnośne władze.

Na drogę surowych reform wkroczył jednak rząd gen. Czan Kaj-Szeka. Wprowadzono karę śmierci za handel i palenie opjum, naukę hieroglifów zastąpiono łatwym, lecz wprowadzającym pewien zamęt w fonetykę i morfologię, alfabetem i wydano walkę zabobonom. Nie nazywa się to w Chinach europeizacją, gdyż zmiany przeprowadza rząd narodowy, lecz w rzeczywistości wzory zaczerpnięte są z kultury białej rasy. Równocześnie wzrasta niechęć do białych, których obwinia się o wiele nieszczęść, jakie przeszły nad „Krajem Środka". Niknie też powoli w oczach chińskich, może już bezpowrotnie prestiż Europejczyka i Amerykanina. Ale z pod nienawistnego, białego władztwa, podpartego kapitałem i pierwszorzędnym sprzętem wojennym, trudno wyłamać się szybko. Może się jednak uda? Trzeba brać przykład z Japonji, która nietylko nie boi się wpływów zagranicy lecz jej grozi, armią, flotą i przemysłem. „Zetnijmy warkocze, niech z niemi runą równocześnie zabobony" — woła rząd chiński — „zmieńmy nasz wygląd, upodobnijmy się do Europejczyka. Idźmy śladami Japonji, a zdobędziemy choćby połowę jej potęgi — trud nasz będzie wynagrodzony!"

Z nakazem obcięcia warkoczy można niewątpliwie połączyć i drugi cel: niwelację społeczeństwa. Chińczyk właściciel pięknego warkocza z pogardą spoglądał na młodzików wymuskanych na wzór europejski. Nawzajem chłopcy bogatszych, potrosze zeuropeizowanych rodziców, wyśmiewali w w szkole i na ulicy swych rówieśników, noszących jeszcze warkocze. Często dochodził nawet do bójki. Teraz zapanuje równość. Nieuzasadnionem zaś jest zaniepokojenie wśród fryzjerów Częściej przecież będą musieli teraz strzyc głowy niż dotychczas.

Drugie rygorystyczne postanowienie rządu dotyczy zniekształcania nóg niemowlętom. Dziwić się należy, że surowy zakaz wydano dopiero teraz. Ileż to już pokoleń kobiet chińskich poddano tej strasznej torturze pod nakazem władczej tradycji, której początki są dla nas zupełnie nieznane. Zapiski, zabytki poezji i malarstwa dotyczące tego zwyczaju datują się od zamierzchłych czasów, a wiele ich pochodzi z okresu dynastji Tangów (618—967 po Chrystusie)

Dziewczynkom w krótkim czasie po przyjściu na świat, krępowano silnie stopy zwojami płótna, by zmniejszyć cyrkulację krwi. Kończyny zatrzymywały się poprostu w swym rozwoju ulegając zupełnemu zniekształceniu. Jak wykazały badania lekarzy i prześwietlenia promieniami Roentgena kościec był przeciętnie zmniejszony o 64 procent Wymiary stopy kobiety w średnim wieku, były zadziwiająco małe: 15 centymetrów długości i 5 i pół ctm. szerokości, gdy tymczasem normalna stopa Chinki jest długa 23.3 ctm. i szeroka 8 ctm. Na zniekształconych kończynach chodziły Chinki, jak na szczudłach, utykając przytem na obie nogi i ciężko, raptownie pochylając się w bokach. Niesamowity dla oczu Europejczyka chód, odbijał się ujemnie na rozwoju stawów skokowych i kolanowych. I te skarłowaciałe nogi oraz niezgrabny chód były przedmiotem zachwytu dawnych kobiet i natchnieniem poetów.

Kto wymyślił ten dziwaczny i okrutny zwyczaj? Sami Chińczycy nie mogą znaleść konkretnej odpowiedzi na to pytanie. Miało to być karą dla niewiernych żon czy też środkiem zapobiegawczym, by kobieta troszczyła się więcej o gospodarstwo w swem domu, niż o plotki u sąsiadki. Podobno na pomysł ten wpadli mężczyźni. Kobietom wmówiono, że mała stopa jest piękniejszą od wielkiej i to wystarczyło biednym niewolnicom mody, by chętnie poddawały się torturze

Wiele przemawia za tem, że zwyczaj zniekształcania nóg wprowadzono najpierw u mandarynów których żony musiały się czemś różnić od pospólstwa. Ograniczona swoboda ruchów była więcej znośną dla bogatej kobiety, którą noszono w lektykach, albo na plecach, niż dla robotnicy, krzątającej się koło gospodarstwa, lub pracującej ciężko w polu. Jednak z biegiem czasu zwyczaj ten ogarnął nawet najniższe warstwy.

Najnowszy zakaz rządu nankińskiego godzi więc, jak widzimy w prastarą tradycję. Lecz nie jest niechętnie przyjęty przez społeczeństwo. Od wielu już lat widywaliśmy Chinki o stopach normalnie rozwiniętych. Same zrozumiały, że czas najwyższy, by zerwać z okrutnym zwyczajem, przywdziać europejskie obuwie, zająć się sportem i... z uśmiechem pobłażliwym czytać mądrości Kon - Fu - Ce - go.

Rząd chiński, wydając oba wyżej omówione postanowienia, wyznaczył termin do ich wykonania 30-to dniowy. Nakaz wydano 450-cio miljonowemu narodowi, rozsianemu na przeszło 11 miljonach kilometrów kwadratowych Czy termin nie jest za krótki? Czy istotnie tak łatwo będzie wykorzenić tradycję z duszy i umysłu Chińczyka?

Mieczysław Babiński

Radjo - przyjaciel dzieci

Zagadki muzyczne dla dzieci układu Ady Artzt i Tad. Seredyńskiego, nadawane przez Rozgłośnię Lwowską, cieszą się coraz większem powodzeniem wśród małych radjosłuchaczy. Na ostatni konkurs „Zagadek" z dnia 5 listopada napłynęło do rozgłośni przeszło 700 listów z odpowiedziami. Na listach tych — znaczki pocztowe polskie, niemieckie, gdańskie, łotewskie, francuskie. Polskie dzieci, rzucone przez los daleko od Ojczyzny, przesyłają w swych listach nietylko rozwiązanie zagadek. Przesyłają coś więcej — piszą do Radja, jak do dobrego starego przyjaciela.

Oto jeden z takich listów, który nadszedł z Francji.:

„Właśnie trzy dni upłynęło, jak mi Tatuś kupił radjo, z którego się bardzo cieszę, gdyż mogę przez nie słyszeć mowy z Polski. Bo chociaż mam lat 12, lecz Polskę jeszcze nie widziałem, gdyż tu się we Francji urodziłem. Przedtem to chodziłem trochę do polskiej szkoły, a teraz nam pani nauczycielka odjechała do Polski, a innej w jej miejsce nam nie przysłali. To tylko muszę chodzić do francuskiej. Toteż, gdy mie Tatuś kupił radjo, to wciąż nastawiam na Polskę. Wieczorem 5 listopada usłyszałem przez radjo zagadki do odgadnięcia dla starszych dzieci, więc i ja chciałem odgadnąć, lecz nie wiem, czy będę mógł, bo był to dzień pochmurny i duży wiatr, tak, że chwilami nie słyszałem. A co do zagadek — instrumenty były następujące: skrzypce, fisharmonja, trąbka.

Kończę mój list, zasyłając Radju dzieńdobry z Francji.

Tadeusz Longin Iach.

Ronchamp. Cantine du Magne. Haut Saone, France.

—v—

Artysta z Damvillers

(W 50-tą rocznicę zgonu Juljusza Bastien-Lepage)

Juljusz Bastien - Lepage był wielkim Francuzem. Był nim nie dlatego, że zyskał sobie sławę znakomitego malarza, lub, że niezmordowaną pracą całego życia dorobił się olbrzymiego majątku. Nie był też arystokratą, pochodził bowiem z prostej wieśniaczej rodziny. Na polu bitwy też nie zdobył orderów, ni jeneralskich szlif.. Dlaczego więc znała go i uwielbiała cała Francja?

Bo Juljusz Bastien Lepage całą rozległą stroną swego ducha żył życiem Francji i dla Niej tylko i swego wielkiego narodu — od kolebki aż do trumny — pracował. — Cieszył go i radował każdy triumf jego ojczyzny, zmierzającej różnemi drogami do utrwalenia wielkości i potęgi, głębokim natomiast smutkiem i bolesnem upokorzeniem napawała go klęska Francji w r 1870.

I tak, jak pięknem i szlachetnem było jego życie, taką też była jego natchniona sztuka. Stała się ona najwierniejszem odbiciem jego jasnej i pogodnej duszy.

Dwie charakterystyczne cechy jego twórczości wysuwają się na plan pierwszy: ukochanie przeszłości swego narodu oraz głębokie przywiązanie i miłość do rodzinnej wioski. — Boć blisko ojczystej ziemi trzymał się zazwyczaj Juljusz Bastien, a jeśli kiedy duchem swych natchnień wylatywał ponad nią, to czynił to rzadko i niechętnie. — Taką też pozostała jego sztuka. A świadczyć ona będzie pokoleniom, że artysta ten należał do najlepszych synów Francji w XIX wieku.

Pochodził z wioski Damvillers w departamencie Meuse.

Czujne oko najbliższych mu sercem ludzi, do których w pierwszym rzędzie należała jego skromna matka, ojciec i dziadek, pilnie go strzegło i prowadziło aż do wczesnej i dalszej jego młodości. — Ojciec i dziadek chcieli go widzieć urzędnikiem, matka zaś, marzyła o tem, by syn jej pozostał na rodzinnym zagonie. — Głos męski zadecydował i Juljusz po ukończeniu wiejskiej szkółki został oddany do Collegium w Verdun, gdzie prócz rysunków nie zaniedbywał studjów literackich. — W Verdun po raz pierwszy przepowiedziano mu świetną przyszłość.

Tu też, wiedziony wielką i gorącą miłością ojczyzny, zamyślał poświęcić się służbie wojskowej i wstąpić do szkoły wojskowej w Saint Cyr. Po kilku latach widzimy go jednak w Szkole Sztuk Pięknych w Paryżu, gdzie z ciężką biedą zarabia na kawałek chleba i studjuje malarstwo. Pracuje u Cabanela. Twardy ugor duszy chłopskiej nie ugiął się pod ciężarem przeszkód i niedostatku: chłopski syn nie chce żebrać. Nigdy nie zawodzące serce matki jest przy nim. I oto szczęście chce, iż Rada Departamentu Meuse przyznała mu stypendjum w kwocie 600 franków! Lecz to wszystko za mało. I w chwili, gdy niejeden byłby się załamał i zginął niechybnie, ten prosty chłopski syn przez swą wytrwałość, bohaterski upór, a przytem pogodę młodego umysłu i uczuć — wychodzi z tej próby życia — zwycięsko.

Nadchodzą Wielkie Dni Francji... Rok 1870... Sedan...

Wiedziony tą samą miłością, która go pchała do szkoły w Saint Cyr, idzie ten chłopski syn na pole walki, by wynieść z niej ranę fizyczną, a w duszy ból z powodu upokorzenia Ojczyzny.

Po dwu latach cierpień fizycznych i moralnych wraca w progi Szkoły Sztuk Pięknych, lecz pozostaje zupełnie już bez środków do życia. Ratując zagrożoną egzystencję, rysuje do pism perjodycznych, zkolei przerzuca się do malowania wachlarzy, kwiatów, stworzeń skrzydlatych, profili twarzyczek i tu już zdobywa wziętość, osiąga powodzenie, staje się popularnym. A kiedy wkrótce otrzymał nowe, niespodziewane zamówienie na duży obraz alegoryczny, przedstawiający fontannę wiecznej młodości, położenie jego materjalne gruntownie się zmieniło. Powstaje więc wesoły jasny jego obraz w rodzaju Watteau, zatytułowany „Wiosna", — a w ślad za nim, jako wyraz miłości ku własnej wiosce, miłości ludu wiejskiego i sielskiej natury, idzie, wystawiony w roku 1874 krajobraz jego stron rodzinnych, któremu dał tytuł: „Piosenka wiosny". Obok niego wystawia równocześnie „Portret dziadka", przedstawiający czysto narodowy typ wieśniaka. Oba te obrazy zyskują sobie poklask doborowej publiczności francuskiej. Artystę spotyka zasłużona nagroda: otrzymuje medal III. klasy i zawiadomienie, iż rząd zakupił „Piosenkę wiosny" do Galerji państwa, a co za tem idzie, że tak upragniony pieniądz da mu możność dalszych studjów.

„Dziewczyna idąca do Komunji" przynosi mu nowy sukces. Lecz wkrótce spotyka go pierwsza, bolesna i niezasłużona gorycz: ubiegając się o nagrodę rzymską, wystawia prześliczny obraz pt. „Anioł ogłaszający pasterzom narodzenie się Dzieciątka Jezus" i obraz ten wbrew opinji ogółu, dającej palmę zwycięstwa Juljuszowi Bastien — przegrywa na korzyść znacznie słabszego. Usunąwszy się w zacisze wiejskie, zwierza się jednemu z przyjaciół, dlaczego tak go pociąga wieś: „W Paryżu nauczyłem się rzemiosła mego, ale nie tam nauczyłem się sztuki mojej...".

Na wsi bowiem były jego wzory, z których skarbca tak obficie czerpała bogata jego wyobraźnia. W zdrowem zetknięciu się z naturą i prostymi, spokojnymi, pracowitymi ludźmi wsi widział swój spokój i doskonalenie artyzmu. Pragnie obecnie stworzyć szereg dzieł, które stałyby się synonimem jego uczuć dla narodu francuskiego.

„Wieś" serja zamykająca szereg prac wieśniaczych — „Joanna d'Arc" wieśniaczka - bohaterka o narodowem posłannictwie oraz „Chrystus w grobie", płótno dla parafjalnego kościoła jego wsi. — oto pomysły tych dzieł, które począł rychło wcielać w czyn i przyoblekać w żywe, realne barwy.

Gdy z cyklu „Wieś" ukazało się na wystawie „Sianożęcie" wszyscy uznali, że świat sztuki zyskał nową, nieznaną dla większego ogółu, świeżą, zdrową, czystą i naturalną nutę artystyczną. A był to czas, gdy sztuka francuska bardzo odbiegła od natury, pojętej czysto i poetycznie. To też nawrót do niej był wyłączną zasługą Juljusza Bastien. Opinję tę potwierdził najzupełniej następny obraz tego cyklu: „Październik czyli zbieranie kartofli". Ale nie tu jeszcze był punkt kulminacyjny jego wspaniałej twórczości artystycznej.

Wróciwszy z Londynu, gdzie malował portret księcia Walji i wielu arystokratów, z bajeczną wprost sumą pieniędzy i Krzyżem Legji Honorowej, osiada na wsi i rozpoczyna największe dzieło swego życia: obraz Joanny d'Arc. Postać jej miała stać się dlań mitem Francji, tkwiącym głęboko w łonie narodu, a zwłaszcza w duszy ludu francuskiego. Dlatego dzieło swoje tworzył mistrz u siebie na wsi wśród tej natury i tego ludu, którego genjusz przedstawiała bohaterska dziewica z Domremy. Sad rodzicielskiego domu służył mu za tło, modelem zaś do Joanny była dziewczyna z Damvillers którą artysta tkliwie i gorąco kochał i która kiedyś miała zostać jego żoną. Kończąc swój obraz, jest pełen nadziei. To też, jak grom z nieba spotyka go nowy cios. Obraz wystawiony w Paryżu w r. 1880, zyskał gorących wielbicieli, lecz równocześnie przysporzył jego mistrzowi nieprzejednanych przeciwników. Wielki medal honorowy wziął kto inny.

I ten zawód zniósł Juljusz Bastien po męsku i raz jeszcze ukazał swą szlachetną duszę. Oto w obecności licznych przedstawicieli świata artystycznego, literackiego i dziennikarskiego przy zamknięciu wystawy i rozdawnictwie nagród powiedział: „Tworzyłem to dla mojego narodu, dla Francji i Francja ma, com jej dać pragnął — to dla mnie dość...". Powiedziawszy to przekazał obraz Joanny d Arc galerji państwa. Królewski ten dar wywołał rumieniec wstydu na obliczach jego zaciekłych rywali.

Po powtórnym powrocie z Londynu rozpoczął nowy obraz. Była nim „Ofelja zstępująca do wody..." Nie ukończył go jednak, ponieważ w roku 1883 wezwał go Paryż do odmalowania żałobnego konduktu Gambetty i jego samego na łożu śmierci. Ponieważ zarówno artysta, jak i zmarły dyktator kochali Francję miłością najwyższą, Bastien oddał się temu dziełu z zabójczym zapałem. Dżdżysty dzień pogrzebu i chłód panujący w pokoju, w którym Bastien przez ośm dni szkicował obraz nabawiły go ciężkiej choroby, z której się więcej nie podźwignął. Przez długi czas pozostawał odtąd na wsi i tu często gościł swoich przyjaciół, a potem pragnąc odegnać precz smutne myśli i przeczucia, począł malować pogodny i pełen wdzięku obraz: „Miłość na wsi".

W lecie 1883 r. wysłano go pod łagodniejsze niebo Algieru. Lecz on sam już teraz czuł zbliżający się koniec. Kiedy bowiem pewnego razu Theuriet wymawiał mu długą jego nieobecność w domu, on, ścisnąwszy mu rękę, rzekł: „Kiedy się ma przed sobą drogę daleką, należy uporządkować swoje interesa..." Gdy wrócił do Paryża siły opuściły go zupełnie. Mając tu prześliczny pałacyk w okolicy parku Monceau a w nim nagromadzony wysiłkiem całego życia majątek, wygody i przyjaciół, wybiegał teraz często wspomnieniami w te drogie miejsca, których już nigdy nie miał ujrzeć. Przed oczyma stanęła mu jego rodzinna wioska Damvillers...

Aż przyszła śmierć. Było to 10 grudnia 1884 r. W noc z 9-go na 10-go długo rozmawiał z matką i bratem o Damvillers, o swem dzieciństwie i wczesnej młodości, wspominał przyjaciół Theurieta i Karola Baude, aż wreszcie o godzinie 6-tej zawołał jeszcze po raz ostatni: „Pić mamo!" Lecz oczy zaszły mu mgłą śmierci tak, iż kubka nie mógł ująć w rękę... Wkrótce też, — pocieszając matkę, — wyzionął ducha. Miał wówczas lat 36.

Śmierć przyszła doń łagodna i cicha, jak cichem było jego sielskie życie w Damvillers, ukochanej wiosce.

W trzy dni po jego śmierci, w dniu 13 grudnia 1884 roku cała ludność tej wioski wyszła na spotkanie drogich zwłok Juljusza Bastien, sprowadzonych do stron, które umiłował tkliwem sercem człowieka z ludu i czystem uczuciem artysty.

Cała zaś Francja oddała hołd nieśmiertelnemu twórcy „Joanny d'Arc", wprowadzając go w poczet wielkich duchów narodowego Panteonu.

Tadeusz Gryf - Kleszczyński.

FRANC. MAURIAC

„Moje książki"

Oto „Naśladowanie Chrystusa", — z tych kartek
czerpałem me zachwyty mistyczne najpierwsze.
Oto Verlaine'a szlochem przesiąknięte wiersze,
które śpiewało serce boleśnie rozdarte.
Oto Pascal, co idzie jak przewodnik ze mną
ku szczytom i otchłaniom, w tę noc serca ciemną

I ten mój modlitewnik, w którym każdą stronę
czytałem na nieszporach, w zachód słońca cichy
obrazki, imionami dzieci ozdobione
biało lśnią na nich kwiaty i złote kielichy.

Czytało się biskupie na nim „imprimatur"
modły o deszcz, pogodę, i litanij wiele
na nieszporach w kaplicy mrocznej pensjonatu
w te, zapomniane dzisiaj, słoneczne niedziele.

I wreszcie Ewangelja, — źródło wieczne, czyste,
w którem ma dusza nędzna z zachwytem się nurza,
gdzie widzę Cię jak marzysz samotnie, o Chryste,
jak kazasz gdzieś na górze lub uśmierzasz burze,
o Panie mój, co schylasz się ku mej udręce
i miłośnie wyciągasz ku mnie Twoje ręce!

przełożył KAZIMIERZ RYCHŁOWSKI

Zbójnictwo w Karpatach wschodnich i środkowych

O łemkowskich zbójnikach

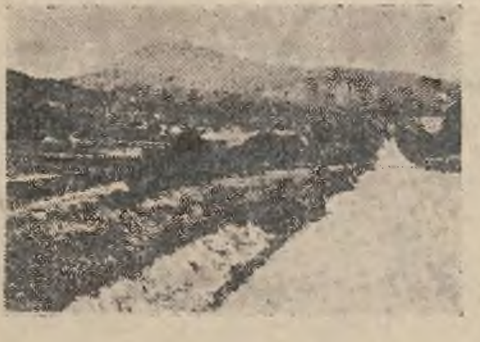
Ilekroć jest mowa o zbójnikach góralskich, przychodzą nam na myśl opiewane przez lud w rozlicznych piosenkach postacie tatrzańskich Janosików, czarnohorskich Doboszów, a nie pamiętamy o tem, że niegdyś całe Karpaty były jedną wielką kryjówką, w ktorej bezpieczne schronienie znajdowały liczne bandy opryszków, unikających zetknięcia z karzącą dłonią sprawiedliwości.

Góry Łemkowszczyzny, ciągnące się lesistemi pasmami od Sanu na zachód poza Poprad, nie stanowiły w tym względzie wyjątku.

Pierwsze wzmianki o zbójnickich napadach w tych stronach datują się z czasów odległych, kiedy to w Karpatach pojawili się pasterze wołoscy (w XV w.) półdzicy, niesforni, którzy nadmiar swego południowego temperamentu chętnie wyładowywali na karkach przyłapanych podróżnych.

Z czasem Wołosi osiedlili się na stałe w niedostępnych kotlinkach śródgórskich i uspokoili się nieco. Naogół jednak ten lud, żyjący w swobodzie, długo nie tknięty jarzmem pańszczyzny, zachował swą dzikość i poczucie niezależności. Dopiero, gdy z końcem XVI w. panowie podgórscy zaczęli zaciskać swym poddanym obrożę pańszczyzny, wielu się buntowało i uciekało w góry. Z tych uciekinierów, trudniących się z musu rozbojem, urastały niebezpieczne bandy opryszków, które przeszły nawet do historji pod nazwą Beskidników.

Sprzyjały Beskidnikom góry lesiste, pełne znakomitych kryjówek, przez które wiodły uczęszczane przez kupców trakty na Węgry, wzdłuż Popradu, przez Łabową i Tylicz, przez Konieczną i wreszcie przez przełęcz Dukielską.



Góra Cergowa, gdzie była kryjówka Beskidników

Na górach, z których rozległy był widok, mieli Beskidnicy swoje czatownie. Do dziś pokazują jaskinie koło wsi Maciejowej (w Sandeczyźnie), skąd wypatrywali zbójcy podróżnych, jadących Tylickim gościńcem na Węgry.

Na górze Cergowej koło Dukli znajdować się miały jaskinie tak rozgałęzione, że sfora psów wypuszczona jedną z nich, według podania, po godzinie dopiero wybiegała z drugiej strony góry.

W jaskiniach tych przebywali stale Beskidnicy, pustosząc dookoła okolicę. Oni to w r. 1566 napadli na kościół we Wrocance (p. Krosno), zrabowali go zupełnie, a proboszcza Adama Sokołowskiego zamęczyli na śmierć, domagając się od niego pieniędzy.

Dalej na wschód w górach sanockich było również niespokojnie; gdy w r. 1648 w czasie najazdu Chmielnickiego szlachta chroniła się przed Tatarami w lasy, Beskidnicy napadali ją i rabowali.

W tym samym roku notują na całem Podgórzu ustawiczne napady opryszków, którzy stają się coraz zuchwalsi.

W r. 1649 banda Beskidników pod wodzą Sawki i Czepca (syna organisty z Grybowa) napadła na Jamgród (część Dukli) własność Jana Męcińskiego, zrabowała dwór Dolpacego w Gliniku, Cikowskiego w Żeglcach, Olszewskiego w Ropie, wieś Rogi koło Iwonicza i wielu innych.

Szczególnie zawzięli się zbójnicy na szlachte ariańską, dość liczną po dworach podgórskich. Maciej Kwoczka ze Stebnika, herszt zbójnicki, rezydujący ze swą bandą w karczmie na Hucie Krzyżowskiej (koło Krynicy), zrobił napad na Stanisława Wiszowatego (zięcia Socyna) i tak nieszczęsnego arjanina storturował, że tenże zmarł po trzech dniach. Banda owa miała jeszcze wielu innych Arjan na sumieniu.

Największe nasilenie zbójnictwa wypadło w czasie wojen kozackich, kiedy szlachta była w polu i nie było komu bronić dworów. W tym czasie (w r. 1651)



Karczma zbójnicka na Hucie Krzyżowskiej koło Krynicy

rozesłał Chmielnicki licznych ajentów, którzy, przebrani za dziadów, podburzali przeciw panom chłopów małopolskich

Największy posłuch zyskali emisarjusze wśród Rusinów zamieszkujących góry od Sanu po Krosno, Duklę, Grybów (dzisiejsi Łemkowie), którzy masowo opuszczali wioski i łączyli się z bandami Beskidników, równocześnie burzył się lud polski w okolicach Melsztyna, Lanckorony i pod Babią Górą. W związku z temi ruchami był słynny bunt Kostki Napierskiego, który na czele górali podhalańskich zdobył w r. 1651 zamek czorsztyński.

Na wieść o zajęciu zamku, w którym, nawiasem mówiąc, całą „załogę" stanowiło paru żydów, ruszył przeciw Napierskiemu Jordan, starosta ropczycki, a gdy ten odszedł z niczem, srodze przez Napierskiego zelżony, ruszyła przeciw buntownikom dragonja biskupa Gembińskiego z Muszyny.

Wiadomość o oblężeniu Czorsztyna rozeszła się daleko. W karczmie na Krzyżówce zebrali się najgłośniejsi łemkowscy hersztowie, Bajus (z Leszczyn pod Gorlicami), Czepiec, Sawka i postanowili poprowadzić swe bandy na odsiecz oblężonym.

Jak wiemy, Napierskiego i jego najwierniejszych towarzyszy wydali sami oblężeni górale, nie powiodło się też kierownikom odsieczy, Czepiec i Sawka tylko temu zawdzieczali swe życie, że ich Napierski w Nowym Targu od śmierci wyprosił.

Po powrocie na Krzyżówkę Sawka siał postrach w dalszym ciągu. Gdy jednego z jego przyjaciół, Roztockiego, uwięzili mieszczanie z Muszyny za kradzież baranów, Sawka zagroził im spaleniem miasta i zmusił mieszczan do wypuszczenia złodzieja.

W 1653 r. połączył się Sawka z Hryciem Jachną z Czigelki, również hersztem zbójnickim i od tego czasu operowali razem. Dopiero w czasie wojen szwedzkich odetchnęła trochę Sandeczyzna, gdy Sawkę i jego kompanów zwerbowali w roku 1656 do swych chorągwi bracia Jan i Kazimierz Wąsowicze, oficerowie Aleksandra Lubomirskiego z Nawojowej.

Wąsowicze pozyskali górali karpackich dla sprawy Jana Kazimierza. Jan przy pomocy krewniaka Krzysztofa Wąsowicza, dowódcy jazdy lekkiej Stefana Czarnieckiego pobił wówczas Szwedów pod Nowym Sączem.

Pisze o nich znany epigon romantyzmu Mieczysław Romanowski:

„A Wąsowicze lud zbierają w pułki,
A ciągną ludzie do nich jak jaskółki,
Znacie ich, raźni, nie lękliwi znoju,
A będą jako wilk w owczarni w boju".

Górale śpiewali o nich piosnki, a nawet utarło się wśród nich podobno przysłowie „co Wąsowicz, to człowiek".

Nie był to jednak pierwszy wypadek użycia w wojnie zbójników łemkowskich. Już w pierwszej połowie XVI w. używał ich Hieronim Łaski, instalujący na tronie węgierskim wygnanego z kraju Jana Zapolję. Takie wyprawy wojenne dawały jednak tylko chwilowe odprężenie, po powrocie zbójnicy grasowali nadal. Dlatego też bez względu na ich (czasem nawet znaczne) zasługi, bywają tępieni zewsząd bez miłosierdzia.

W pierwszym rzędzie zwalczają ich starostowie po grodach w Sanoku Bieczu, Sączu.

W r. 1600 Zygmunt III nakazuje staroście bieckiemu „tępić rozbójnictwo w cztery lata", później upomina, by czynił to energiczniej. Pod wpływem napomnień królewskich sypie się z pod katowskiego topora istny grad głów; w r. 1614 w samym Bieczu stracono ich razem 120 Wciąż jednak przybywali inni.

Pewnego razu dwu zbójców, sądzonych w Bieczu, podało imiennie 78 wspólników z trzydziestu wsi.

Do dziś jeszcze pokazują na wzgórzu koło Biecza ruiny kapliczki pod którą tracono niegdyś zbójników. Z władzami państwowemi współdziałała zgodnie inicjatywa prywatna, dwory organizują obronę, chwytają lub zabijają zbójników. Gdy w r. 1632 wspomniany już Kwoczka napadł z kompanami na dwór p. Krzesza w Męcinie, dziedzic wysłał przeciw nim czeladź, która dopadła zbójców w karczmie w Wielogłowach, poodbierała im zbójnickie siekierki i pozabijała, jedynie Kwoczka zdołał uciec.

W góry ruszają ekspedycje wojskowe i prywatne na obławy. Kazimierz Wąsowicz, rotmistrz piechoty Lubomirskich z Nawojowej zanim zaczął ze zbójców organizować oddziały przeciw Szwedom czy Arjanom, gromił ich gdzie mógł, a pojmanych odstawiał do Nowego Sacza gdzie ich ćwiartowano i wbijano na pal.

To samo robiło wojsko biskupie w tak zw. „państwie Muszyńskiem", należącem do biskupów krakowskich. Gdy przychwycono Prokopa Kapkę, groźnego herszta, zawisł na szubienicy w Muszynie.

Najgorsze jednak represje nastąpiły po zwycięskiej bitwie pod Beresteczkiem (r. 1651) szlachta upojona zwycięstwem, poczęła zwolna wracać do domów i mścić się na chłopach za bunt.

Teror, jakim odpłacono teraz mieszkańcom górskich wiosek za napady, był tak straszny, że wioski całe uciekały z Polski przez Karpaty, osiedlając się na Węgrzech, gdzie przyjmowano ich jako kolonistów z otwartemi rękami.

W tych czasach n. p. porzuciła stare siedziby ludność Żeglec (pow. Krosno) i osiadła w Zborowie na Węgrzech (koło Bardjowa).

Wśród Rusinów po drugiej stronie Karpat, znajdziemy wiele nazwisk, wskazujących na to, że kiedyś przodkowie ich uciekli z Polski, n. p. Banicki (z Bańczy), Zdyniak (ze Zdyni), Peruński (z Perunki), Brunarski (z Brunar), wszystko to wsie ruskie, po polskiej stronie leżące.

Mimo tych strasznych represyj, w czasie których padały setki głów winnych i niewinnych, rozboje nie ustały zupełnie, po staremu napadają Beskidnicy na dwory i plebanje, nie przepuszczając nawet swym własnym proboszczom z zapadłych wsi górskich.

W r. 1758 lustruje wieś Irby, leżącą nad samą węgierską granicą dziekan gr. kat. W czasie wizytacji zeznaje proboszcz, że przez najście zbójeckie za jego poprzednika ks. Jana Ropskiego (który w niem życie stracił) wszystkie dokumenta zostały zniszczone.

Jeszcze z początkiem XIX w. góry łemkowskie nie były bezpieczne. Dziś nawet, starzy gazdowie, którzy w młodości jako juhasi owce po górach pasali, opowiadają o groźnych opryszkach, napadających na koszary i szałasy pasterskie, rabujących owce i woły.

Morawski Szczęsny w swych gawędach z Sandeczyzny przypuszcza, że stare kapliczki, wzniesione z kamienia po górskich bezdrożach są śladami dawnych rozbojów i „stoją na mogiłach ludzi zabitych lub nawet zbójców".



Kapliczka koło Biecza, dawne miejsce tracenia Beskidników

Dzisiaj już w górach Łemkowszczyzny niema zbójników, ale z dawnych czasów wśród ludu pozostała żywa tradycja (szczególnie w Beskidzie Krynickim).

Na Skotarskim Wirchu bacował niejaki Skotarski, człek silny i odważny. Pewnego razu przychodzi do niego zbójnik po żętycę.

— To się napij — mówi baca — stoi w beczce.

— Kiedy niema czem.

— Et, ot tak! — To mówiąc chwycił baca beczkę oburącz, podniósł do ust i pije.

Zbójca przestraszył się takiej siły i uciekł.

Nie mało też jest opowiadań o skarbach zbójnickich. Na Krajnej hali (również w Beskidzie Krynickim) cztery siągi od studni mieli zbójcy kryjówkę, z której ośmiu końmi wywieźli tram złota.

Niektóre z tych opowiadań o skarbach, zakopanych wśród gór Łemkowszczyzny zostały przeniesione przez przesiedleńców na drugą stronę Karpat, gdzie wśród Rusinów czechosłowackich do dziś dnia się przechowały.

Roman Reinfuss (Gorlice).

Kiedy, dlaczego i jak święlują mieszkańcy Indyj?

Ludność Indyj naogół nie może się uskarżać na brak okazyj do świętowania — podobnie zresztą jak i mieszkańcy wielu innych krajów (nie przymawiając). Byłoby porywaniem się z motyką na słońce próbować omówić wyczerpująco wszystkie święta indyjskie w jednym artykule, nie mówiąc o tem, żeby to mogło setnie znużyć i znudzić czytelnika, zwłaszcza w okresie świątecznym. To też ograniczę się tu (in der Beschränkung zeigt sich der Meister, jak wiadomo) do ogólnego — strawnego i dla świątecznego żołądka laickiego — obrazu świąt i uroczystości indyjskich, popierając rozważania ogólne dobranemi przykładami.

PODZIAŁ ŚWIĄT INDYJSKICH NA DWIE GŁÓWNE GRUPY

Większość świąt indyjskich podzielić można na dwie główne grupy. Pierwszą tworzą takie, których pierwotnym celem było wzmożenie urodzajności ziemi, uzyskanie deszczu lub pogody słonecznej, zapewnienie sobie pomyślnego wyniku zasiewów i żniw — z pomocą rytów i ceremonij magicznych. Do drugiej zaś należą święta, których obchodzenie miało odpędzić zło i zapobiec zgubnym wpływom demonów lub je unicestwiać.

ŚWIĘTA, MAJĄCE ZAPEWNIĆ POMYŚLNOŚĆ

Dobremi przykładami świąt grupy pierwszej są święta szczepu Ho, zamieszkującego góry na płd. zachód od Kalkuty: pierwsze z tych świąt, których ogółem jest w roku siedem, przedstawia symboliczne zaślubiny ziemi, a odbywa się w czasie kwitnięcia świętego drzewa sal (Vatica robusta); drugie przypada na czas siania ryżu; trzecie na porę kiełkowania nasion; czwarte obchodzą, gdy się je przesadza; piąte stanowi ofiarę z pierwocin; szóste — oczyszczanie klepiska; siódme i ostatnie wreszcie obchodzą, gdy stodoły są pełne ziarna, a ludzie oddają się swawoli i uciechom. Na tym przykładzie widać doskonale pierwotny związek świąt ze zmianami pór czy raczej okresów roku, ważnych dla rolnika. — Taki związek musiało wykazywać też wiele innych świąt indyjskich i dopiero później ustalono nieco inaczej daty ich obchodu, kierując się kalendarzem księżycowym, przyczem też przeznaczano je już dla uczczenia różnych bóstw i łączono z nowemi formami rytuału.

ŚWIĘTO PRZESILENIA ZIMOWEGO

Że tak było, nietrudno przejrzeć niejednokrotnie i dziś jeszcze. Tak n. p. święto Uttarajana (dosłownie „zwrot (słońca ku północy"), albo Makarasantranti („wejście w znak Koziorożca") przypadające na czas przesilenia zimowego, a poświęcone czci zmarłych, odgrywające rolę domowych larów, oraz czci „wszech bogów" (wiśwe dewah), — stanowi właściwe rozpoczęcie roku rolnika. Na południu kraju w tym czasie obchodzą Pongol — składają ofiary z ryżu i rozpalają ognie, mające dodać siły słońcu, sprowokować je do silnego przygrzewania. Nieco inny charakter ma to święto u Nairów, mieszkańców Malabaru, gdzie ma i inną nazwę: Onam; tam w dzień ten chłopcy bawią się w strzelanie z łuku do siebie, co prawdopodobnie pierwotnie miało za cel odstraszenie złych duchów.

ŚWIĘTO WIOSENNE

Potem następuje święto, zwane Wasantapańczami („piąty dzień wiosny"), szczególnie mile widziane i witane przez śmiertelników: przez najbliższych 40 dni (osobliwa kwarantanna) ludzie oddają się wyuzdanej swawoli, grzesząc i słowem i uczynkiem, popijają obficie przytem i jedzą niezgorzej (miałoby się prawie ochotę powiedzieć: tout comme chez nous), przedewszystkiem potrawy podniecające, dostrajając w ten sposób pokarm cielesny do duchowego — czy też naodwrót Nawet osoby zwyczajnie się szanujące włóczą się po ulicach i wyśpiewują pieśni, wielbiące potęgi natury. W Kaszmirze każdy przywdziewa w tym czasie strój żółty, dostosowany do pory roku. Szczególnie gorliwie obchodzą to święto leśne szczepy Assamu (na płn. wschodzie Indyj). „Jest ono tak wesołe jak karnawał — pisze jeden z naocznych świadków, pułkownik angielski Dalton — i, jak długo trwa, kobiety zażywają niezwykłej swobody. Na wiele dni przed właściwą uroczystością można widzieć, jak młodzież wiejska chodzi grupami, wystrojona w żywe kolory, lub też tworzy koła, w których środku tańczą najładniejsze dziewczęta, rozpuściwszy długie włosy wzdłuż pleców. Pierwszy dzień święta poświęcony jest wzajemnemu odwiedzaniu się, następny kąpaniu i czczeniu bydła, a w trzeci mieszkańcy kilku grup wiosek, starzy i młodzi, schodzą się w jakiemś umówionem miejscu i oddają się zabawie na dobre. Dziewczęta przy takich sposobnościach nie lubią tańczyć z mężczyznami ze swojej wsi".

Punktem szczytowym tego okresu świątecznego jest święto Holi w Indjach północnych, zupełnie przypominające nasz karnawał, tylko podobno znacznie bardziej wyuzdane.

ŚWIĘTA JESIENNE

Niedługo potem przypada Nagapańczami („piąty dzień (ku czci) węża"), poświęcony czci wielkiego węża, który — według wierzeń Hindusów — podtrzymuje świat, dźwigając go na sobie; obchód świąteczny w tym czasie ma wpłynąć dodatnio na orkę i na jesienne zasiewy ryżu, które właśnie wtedy się zaczynają. Ceremonje święta żniw składają się na Durgapudża („oddanie czci (bogini) Durdze") oraz Ramalila („igraszki Ramy", deifikowanego bohatera Ramajany), przypadające na koniec tej pory roku. Sztuki sceniczne, jakie wtedy się odgrywa, przypominają charakterem trochę średniowieczne misterja europejskie, a stanowią prawdopodobnie przeżytki pierwotnych ceremonij magicznych, jakie zresztą i dziś jeszcze odprawiają w tej porze szczepy leśne.

ŚWIĘTA, MAJĄCE ODPĘDZIĆ ZŁE DUCHY

Druga grupa świąt ma na celu odstraszenie złych duchów: wiadomo bowiem, że djabeł nie śpi. Ten motyw zresztą po części można odnaleźć i w pierwszej grupie, już omówionej, tylko tam jest on mniej wyraźny, podczas gdy tu jeszcze i dziś jest widoczny w ceremonjach i obrzędach wiejskich i domowych. Wspomniani wyżej Ho podczas święta żniw „podejrzewają — jak pisze cytowany już Dalton — obecność złego ducha i dla pozbycia się go mężczyźni, kobiety i dzieci idą w procesji dokoła wsi i przechodzą przez każde jej miesiące, trzymając w rękach kije, jakgdyby tropili dzikiego zwierza, przyczem śpiewają dziką pieśń i wykrzykują co sił, aż uznają za pewne, że zły duch uciekł". Bardzo podobnie dokonywują tej ceremonji w Himalajach, a nazywają ją tam „wypędzaniem djabła". — Inną postacią tego samego obrzędu jest święto Diwali („święto lamp"), połączone z puszczaniem lampek na wodę (według wierzeń indyjskich światła odpędzają złego ducha); dla należytego skorzystania ze sposobności jeszcze najstarsza kobieta w każdej rodzinie wychodzi przed dom i, uderzając w opałkę lub rzeszoto na zboże, wykrzykuje: „Boże zamieszkaj! Ubóstwo, idź precz!"

PÓŹNIEJSZY ROZWÓJ

Dopiero zczasem ta postać pierwotna, zachowana jeszcze niejednokrotnie do dziś, uległa zmianie o tyle, że zaczęto poszczególnym bóstwom oddawać cześć z okazji takiego a takiego święta i — w dalszym ciągu — wymyślać nowe święta dla uczczenia bóstw, którym dotychczas nie poświęcono żadnego dnia w roku. Tem się tłumaczy zadziwiająca rozliczność świąt hinduskich. Każde święte miejsce stało się zarazem przybytkiem innego bóstwa: Benares — Siwy, Mathura — Kryszny i t. d., i każde niemal ważniejsze bóstwo otrzymało w przydziale formalny kalendarz uroczystościowy, aby można było należycie obchodzić pamiątkę różnych wydarzeń z jego życia i odpowiednio uczcić tę czy ową cudowną jego właściwość...

ŚWIĘTA KASTOWE

Stopniowo święta zaczęły się także zacieśniać do poszczególnych kast i klas ludności. W sierpniu przypada wielkie święto bramińskie: bramini fabrykują amulety-sznurki i obwiązują niemi przeguby rąk swym klientom wzamian za dary otrzymane od nich, (takie używanie sznurków i węzłów dla celów magicznych odnajduje się po całym świecie). W październiku znów radżputowie (arystokracja czy szlachta wojskowa) obchodzą swoje święto Dasahra, przypominające swawolą mocno starorzymskie Saturnalia; dawniej w to święto król sam oprowadzał w paradzie byka wokół miasta, by go zabić w świątyni bogini-opiekunki jako zwierzę ofiarne, mające zabrać z sobą grzechy ludzkie (podobnie jak to było u żydów z kozłem ofiarnym). „Święto lamp", obchodzone też w październiku, jest już właściwie świętem kasty kupieckiej: lampy mają odpędzić niepowodzenie; w pierwotniejszej postaci jednak obchodzą je krowiarze w Biharze (płn. wschód kraju), mianowicie przepędzają bydło przez świnię, a gdy biedna ofiara zginie pod kopytami, gotują ją i zjadają w polu (to też święto to łączy się nieraz i z kultem okrutnej, krwawej bogini Kali, małżonki Siwy, w której przybytkach zarzynają tysiące zwierząt).

ŚWIĘTA MUZUŁMAŃSKIE

Wiadomo, że znaczną część ludności Indyj — okrągło 20 proc. (70 miljonów na ogólna liczbę 350 miljonów) — stanowią muzułmanie. I oni mają swoje święta, które także możnaby podzielić na takie same dwie grupy; w wielu wypadkach jednak pierwotne znaczenie święta zatraciło się, zatarte specjalnemi obrzędami (niemałą rolę odegrała tu także wielka zmienność dat, gdyż święta te są ruchome). Tak zatem n. p. święto Ramazanu stanowi dokładny odpowiednik indyjskiego święta wiosny: praktykowana wtedy abstynencja ma na celu magiczne wpłynięcie na rozwój ziarna, a kończące Ramazan święto Id, stanowi żywiołowy wybuch radości, mający pobudzić i ziarno. W wielu okolicach, gdzie muzułmanie stykają się z wierzeniami animistycznemi, do kaplicz swych świętych wprowadzili ceremonje i obrzędy magiczne za przykładem otoczenia.

E. S.

Czerwony Krzyż i Żelazny Krzyż

Axel Munthe cieszy się ustaloną już sławą znakomitego pisarza. Samotny ten starzec o łagodnej twarzy, dogasającem spojrzeniu, o sercu gołębiem i tkliwej, miłującej ludzkość duszy. U schyłku swego życia czyni przegląd uczynków złych i dobrych. Zanim wieczny mrok przesłoni jego oczy, ogarnia ludzkość ciepłem jeszcze spojrzeniem i uczy kochać. Księga z San Michele, to księga życia, w której lekarz, miłujacy ludzi i zwierzęta, umie doskonale odczuć ich ból, nędzę i nieszczęścia, a opowiada o tem z szczerą łza współczucia, z subtelnym uśmiechem pobłażania dla ułomności i z dozą wytwornego humoru.

„Czerwony krzyż i żelazny krzyż", to niewielka powieść, w której cała groza wojny namalowana została bogatemi kolorami palety Axela Munthe. Ponury cień realizmu posłużył autorowi „Księgi o ludziach i zwierzętach" do tem jaskrawszego rzucenia straszliwego „oskarżam" pod adresem Niemiec. „Czerwony krzyż i żelazny krzyż", to księga wojny i księga oskarżenia. Smutna, budząca grozę, targająca nerwami, wykazująca całe barbarzyństwo „Kulturträgerów" — księga śmierci. Żelazny krzyż niemiecki, widomy znak bezwzględnej brutalności „bohaterskich" junkrów Wilhelma w „zwycięskim" pochodzie — depce po gruzach i ruinach kościołów i szpitali; dla niego „czerwony krzyż" humanitarnej akcji bezimiennych i cichych bohaterów jest symbolem bezsiły. I gdzie stani odznaczony krzyżem żelaznym, tam niema miejsca dla miłości i miłosierdzia „krzyża czerwonego".

„Życie jest chyba najśmielszym i najoryginalniejszym na świecie pisarzem oszałamiających opowieści" — powiada autor i rzeczywiście kreśli potworny wprost obraz gehenny wojennej.

W miasteczku francuskiem, zniszczonem pociskami armat, wybuchami granatów i bomb — kościół, który zrządzeniem Opatrzności ostał się cało, zamieniono na lazaret. Jęki nieszczęśliwych, rzężenia konających uczyniły z tego Przybytku Bożego — dom mąk czyśćcowych.

Angielski lekarz Czerwonego Krzyża przybywa tutaj w nadziei godziny spoczynku. W szpitalu znajduje opłakane warunki sanitarne. Marnym półśrodkiem wydaje się wiedza lekarska, bo brak eteru i morfiny, jodyny i bandaży skazuje lekarza na całkowitą bezczynność. To też doktór Martin musi być tylko świadkiem strasznych bredzeń w malignie, przedśmiertnych spowiedzi, wreszcie cierpień, z których organizm ludzki śmierć dopiero wyzwala. Skon niemieckiego dowódcy szwadronu podnieca wyobraźnię ciężko rannego żołnierza i daje mu sposobność do naszkicowania obrazu potwornych przeżyć. „Cieszę się, że już umarł", powiedział żołnierz. „On dowodził moim szwadronem: przez te dwa miesiące żyłem dzień i noc w strachu przed nim... To on poprowadził nas przez płonące ulice Louvain i dymiące ruiny tego, co niegdyś zwało się Aerschot i było spokojnem miastem, gdyśmy tam wkraczali, a zamieniło się w rozżarzony piec po naszem wyjściu. To on sprawił, żeśmy strzelali do kobiet i dzieci w Dinaut, żeśmy oblewali domy naftą i podpalali je pochodniami. To on nas zmusił do grabienia i plądrowania w Termonde... — Szereg grozę budzących obrazów przesuwa się przed naszemi oczami.

Do wsi przybyło pięciu oficerów niemieckich, z chirurgiem na czele. Kiedy po przejrzeniu rannych okazało się, że niema wśród nich żadnego generała, ni wyższego oficera, chirurg nie myśli udzielać pomocy rannym. Po tej lustracji oficerowie udają się na ucztę, a śmiechy ich zmieszane z jękami konających budzą grozę i wstręt. Jesteśmy świadkami rozmowy, jaką toczy graf Adalbert Schoenbein z doktorem Martinem. Na wiadomość, że Martin był w Reims, powiada Schoenbein: „Przyznaję szczerze, że zazdroszczę panu tego. Olbrzymia katedra w płomieniach, to chyba wspaniały widok, widok jakiego nigdy zapomnieć nie można".

Wśród wielkiej ilości dokumentów niejako, jakiemi mogą być kreślone przez Axela Munthe sceny do strasznego dramatu zdziczenia i barbarzyństwa Niemców w czasie wojny światowej we Francji, przewija się i osobisty dramat doktora Martina, na którego ustach wykwita gorąca modlitwa do Boga Zemsty: lecz „Bóg sam wybiera chwilę" dopowie zakonnica.

„Czerwony Krzyż i żelazny Krzyż" Axela Munthe, to księga smutna. Księga śmierci i oskarżenia. A unosi się nad nią boleść miłosiernego serca i oburzenie czystej, dobrotliwej duszy. „Czerwony Krzyż i żelazny krzyż" to groźne „memento" dla nowych pokoleń ludzkich, to książka na czasie, a wydana w przeddzień niemal plebiscytu w zagłębiu Saary, musi zastanawiać.

Axel Munthe w „Czerwonym Krzyżu i żelaznym krzyżu", dając obraz godny pędzla Delacroix, rzucił potężne oskarżenie tym, którzy ślepe instynkty przełożyli ponad miłosierdzie.

Jak się odżywiać w zimie

wedle zasad przyrodolecznictwa

Jest powszechne mniemanie, że w zimie należy odżywiać się lepiej, aniżeli w lecie, a to z tego powodu, że w zimie utrata ciepła jest znaczna i w organiźmie potrzeba więcej opału. To też w zimie dajemy zazwyczaj przewagę pokarmom pożywnym, obfitym w białko i tłuszcze, a mniej używamy jarzyn i owoców, o które jest zresztą trudno. Zapatrywanie to jest błędne, bo właściwie organizm w zimie mniej zużywa energji i mniej produkuje kaloryj, niż w ciepłej porze. Rozumie się, stosuje się to do zawodu inteligenta, który w zimie po większej części przebywa w mieszkaniu, a mniej na dworze i fizycznej energji zużywa niewiele. Inną miarę potrzeba zastosować u tych, którzy z powodu swego zajęcia muszą przebywać przeważnie na świeżem powietrzu. Inteligent pracuje w opalanym pokoju, a wychodząc na dwór ciepło się ubiera i jest przed utratą ciepła zabezpieczony.

Najważniejsze jednakowoż jest to, że w zimie noce są długie, a dnie krótkie, wobec czego sen zimową porą bywa dłuższy. Spalanie w ustroju, a skutkiem tego wydzielanie przez płuca kwasu węglowego jest znacznie większe we dnie, w świetle dziennem, niż nocą podczas snu, — co wpływa na ograniczenie przemiany materji w zimie. W lecie śpimy krócej, przebywamy większą część dnia na powietrzu, jest więcej słońca i promienie chemiczne działają na naszą skórę, zwłaszcza przy kąpielach powietrznych, rzecznych i t. p., a co najważniejsze, w lecie dużo się ruszamy i pocimy. Wobec tego wydatek energji naszego ciała jest przynajmniej dwa razy większy w lecie, aniżeli w zimie, a do tego ilość pokarmów musi się dostosować.

A teraz zastanówmy się, czy nasz sposób odżywiania w zimie tym warunkom odpowiada. Jaką jest w zimie kuchnia inteligenta? Przeważnie żywimy się mięsem wędlinami, konserwami), jajami, mlekiem, a przytem zjadamy dosyć tłuszczów oraz kasz, chleba i bułek, względnie legumin, a mało spożywamy jarzyn i owoców.

Większość tych pokarmów albo całkiem nie zawiera witamin, albo tylko w małych ilościach, a w całem pożywieniu jest nadmiar białka i tłuszczów. Przytem inteligent pije w zimie dużo herbaty, kawy, a przygodnie także alkohol. Oprócz tego w ciągu zimy przypadają święta Bożego Narodzenia, Zapusty, a z wczesną wiosną Wielkanoc, kiedy inteligent jeszcze obficiej się odżywia, co wszystko razem nie może być bez wpływu na przemianę materji. Prócz spożywania tak znacznej ilości pożywnych pokarmów, inteligent cierpi w ciągu zimy na ustawiczny brak powietrza w pokoju i nawet podczas swoich rozrywek, w kinie, teatrze, na zebraniach i t. p., skutkiem czego organizm nie może spalić nadmiaru pokarmów i powstają we krwi „niedopałki", rozmaite zanieczyszczenia, wadliwa przemiana materji, oraz skaza moczanowa. Wszystko to wpływa na zdrowie, albowiem zanieczyszcza krew, staje się podłożem podatnem dla rozmaitych chorób zaraźliwych, szczególnie grypy, oraz różnych cierpień, zwłaszcza artretycznych i nerwowych.

Przystępujemy do właściwego tematu, jak odżywiać się w zimie i czy należy jadać obficie. Człowiek, jako członek przyrody, musi przystosować się do tego, co daje natura, a natura zwierzęta karmi bardzo skąpo i z tego powodu niektóre z nich zapadają w sen zimowy, a ludność wiejska żywi się bardzo skromnie, aby doczekała do przednowka. Inteligent postępuje przeciwnie, co nie może ujść bezkarnie.

Oto zasady przyrodolecznictwa, jak się odżywiać w zimie: Przedewszystkiem jadać mało, wystarczy o połowę mniej niż w lecie, a również nie nadużywać płynów, ponieważ człowiek w zimie mało się poci i nawodniony organizm jest mniej odporny. Co do składu pokarmów, to nie powinno się różnić pożywienie zimowe od letniego. Jeżeli w lecie nie mamy pociągu do pokarmów białkowych i do tłuszczu, a żywimy się przeważnie jarzynami i owocami, to również i w zimie to samo obowiązuje. Coprawda w zimie jest trudniej o jarzyny i owoce, ale tembardziej ich szukać należy, a jeżeli nasze gospodynie o tem pomyślą, to z pewnością je zdobędą, na targach lub z własnych ogrodów. Nie zależy na wielkiej rozmaitości, ale na ich wartości odżywczej.

Ponieważ w zimie naszemu organizmowi daje się we znaki głód witamin, bo mało używamy ich w pokarmach, dlatego przyda się wzmianka, gdzie się one znajdują. **Najwięcej jest ich w jarzynach zielonych i korzeniowych. Tu należą sałaty zimowe, główki kapusty dobrze utrzymane, brukselka, jarmuż, — które spożywa się zarówno na surowo, jak i gotowane; oczywista więcej witamin będzie w stanie surowym, aniżeli w gotowanym. — Znaczną ilością witamin odznaczają się jarzyny korzeniowe, w pierwszym rzędzie jadalne na surowo: rzepa, rzodkiew, marchew i brukiew (tarta) i wszelkie zieleniny i przyprawy: szczypiórek, chrzan, nacina pietruszki, pory, cebula i czosnek, a również buraki** *). W odżywianiu zimowem wielkie znaczenie mają pokarmy kiszone, jak kapusta i ogórki. Zachowują się w nich nietylko witaminy, ale i kwas oraz bakterje mleczne, bardzo pożyteczne dla trawienia. W braku świeżych warzyw mogą je zastąpić jarzyny suszone.

Witaminy idą zazwyczaj w parze z solami zasadowemi, których dla odkwaszenia organizmu i równowagi przemiany materji, potrzeba w odżywianiu wiele. — W owocach krajowych jest witamin mniej, niż w jarzynach, natomiast w owocach z krajów słonecznych, jak w cytrynach, pomarańczach, bananach, figach i t. p., jest ich dużo.

Jak widzimy, w djecie zimowej skład pokarmów jest bardzo ważny. W lecie bowiem, kiedy przemiana materji jest żywsza, organizm łatwiej zniesie błędy w odżywianiu. Natomiast w zimie złe skutki natychmiast występują. **Aby utrzymać dobrą przemianę materji, przyrodolecznictwo podaje taki stosunek: jarzyn, kartofli i owoców powinno najmniej być 3 razy tyle, aniżeli razem wziąwszy pokarmów białkowych, zbożowych i tłuszczów.** W zwyczajnym wikcie inteligenta, tj. mięsnym, stosunek bywa odwrotny: jada się za dużo pokarmów białkowych, tłuszczów, chleba, kasz i legumin, a jarzyn i owoców niewiele.

Z tego wynika, że najzdrowszy jest wikt jarski, trzeba jednak wyjaśnić, że muszą w nim przeważać jarzyny i owoce, a nie, jak często się mniema, pokarmy zbożowe z jajami i mlekiem.

Co do mleka, to przyrodolecznictwo całkiem nie zaleca mleka w zimie, i to z kilku przyczyn. Przedewszystkiem, mleko jest w zimie z natury gorsze, bo brak w niem witamin, a krowy przechodzą okres oczyszczający, więc składniki ich nieczystej krwi dostają się do mleka, stąd pochodzi nieraz niemiła woń jego. Dalej, łatwo strawne mleko przeszkadza strawieniu pokarmów białkowych i tłustych które z tego powodu w przewodzie pokarmowym zalegają i rozkładają się. — Wreszcie, mleko jest przeznaczone do odżywiania młodych, ale jest dla nich jedynym pokarmem, gdy u człowieka dojrzałego jest ono uzupełnieniem i tak zanadto obfitego jadła.

Jeszcze o ważnem zagadnieniu, o przemianie materii w zimie. Przyrodolecznictwo zwraca szczególną uwagę na okresy zimowgo przesilenia w organiźmie u człowieka i zwierzat.

Są dwa takie okresy, w których ustrój oczyszcza się ze złych materyj. Pierwszy na początku zimy, a drugi już w przejściu zimy ku wiośnie. To prawo natury znali już starożytni; świadectwem tego są w tym czasie posty religijne, a u chrześcijan — adwent i wielki post. Posty te w wiekach średnich ściśle zachowywano, dzisiaj jednak utrzymuje je tylko lud wiejski, a inteligencja, rzekomo słabsza, od nich się uchyla — pomimo, że posty dla niej są potrzebniejsze z powodu złej przemiany materji, na którą lud wiejski nie cierpi. Post na początku zimy, a przynajmniej wstrzemięźliwość w jedzeniu, ma swoje naturalne uzasadnienie. W jesieni, kiedy jest największa obfitość pokarmów, a natura niejako przygotowała zapasy na zimę, człowiek nadużywa pokarmów, czego dowodem przybytek na wadze (1—5 kg.). Wtenczas to przemiana materji się pogarsza, dlatego zachodzi konieczna potrzeba oczyszczenia krwi, co właśnie najłatwiej osiągnąć postem, a człowiek, zyskawszy na zdrowiu, dobrze zniesie twarde warunki zimy. — Posty na przedwiośniu są również przystosowane do naturalnych warunków. — Cała przyroda się odnawia, a bujność sił wiosennych wymaga także od człowieka, odpowiedniej wytrzymałości, aby z tych sił ożywczych mógł korzystać, inaczej zamiast podnieść jego energię życiową, raczej ją przytłumią. Stad wniosek, że do oczekiwanej wiosny potrzeba również się przygotować — przez oczyszczenie organizmu i wzmocnienie całego ciała.

Z powyższych wywodów możemy się przekonać, że od sposobu odżywiania zawisło, czy człowiek zime dobrze znosi, czy też jest ona dla niego nieprzyjemną i grozi rozmaitemi cierpieniami. Zima jest przyjacielem silnych i zahartowanych i dla tych milsza porą roku, niż inne. Jest zatem w naszej mocy, aby nam również służyła. Rozważmy wiec, jakie środki, prócz zdrowego odżywiania w zimie jeszcze się nastręczają do wzmocnienia naszego ustroju.

Na pierwszem miejscu jest świeże i orzeźwiające powietrze, w ozon obfite, oczywista na dworze (a nie w mieszkaniach), które wcale nie sprzyja rozwojowi bakteryj. W mroźnem powietrzu i w zmianach atmosferycznych zimy mamy doskonały środek do hartowania i możemy go stosować odpowiednio do naszej odporności, odzyskując ciepło za pomocą ruchu. To też sporty zimowe są bardzo zdrowe, a kto je uprawia, ten zrozumie, czem są przyjemności zimy.

W zimie musi człowiek niejako zdobywać życie i ponosić więcej trudów, aniżeli w innych porach roku, ale zmagając się z twardemi warunkami bytu, ćwiczy swą wolę i energię i wytrwałość. Tem się tłumaczy, że narody północne są zdrowe i długowieczne. Wszak Polska z niemi sąsiaduje i również ma tęgie zimy, więc rozporządza podobnemi środkami do hartowania — ku podniesieniu tężyzny narodu.

Dr. A. Tarnawski, z Kosowa.

*) Szczegółowy opis tych jarzyn znajduje się w Kuchni jarskiej str. 360—382, wyd. Arcta.

Przesmutne karty...

Świeżo z druku wyszło dzieło treści podróżniczej.

Marja Bohdan Niedenthal: Ucayali. Raj czy Piekło nad Amazonką. (Dom Książki Polskiej, Warszawa 1935).

W dziele tem napotyka czytelnik przesmutne opowieści o fantastycznem marnotrawieniu naszych zasobów materjalnych i obniżaniu powagi Polski.

Niepodając szczegółowej treści przytaczamy z niej kilka ustępów.

Do Ucayali w peruwiańskiej Montanji popłynęli p. Niedenthalowie w r. 1930 w towarzystwie rodziny rolnika Dziewy i Dra Szymańskiego, lekarza.

Dyr. Warchałowski nie przygotował nic na przyjęcie emigrantów, którym w Warszawie obiecano gotowe działki domy.

„Serce mi się krajało" (pisze p. Marja Niedenthal) „gdy przyszedł do mnie adwokat poseł na Sejm w Limie, pokazując kontrakt jednej z ofiar Syndykatu Warszawskiego, i pytając, czy figurująca na nim pieczęć, jest rzeczywiście pieczęcią instytucji rządowej Państwa Polskiego? W głowie jego nie mogło się pomieścić, jak mógł Syndykat tak zadrwić z Urzędu Emigracyjnego, każąc mu podpisywać kontrakty, które zgóry uważał za fikcyjne. Nie wystarczyło roztrwonienie setek tysięcy dolarów akcjonarjuszy polskich dla dopełnienia potrzebne były kilkadziesiąt tysięcy wyłudzonych od rządu peruwiańskiego".

Parodją było tu wszystko, co się działo..., co urządził Syndykat... pozwalając dyskredytować imię Polski wymawiane w r. 1926 w Peru z pełną czcią".

Na akcję przygotowawcza, na komisje badawcze, które nic nie zbadały, były pieniądze, idące w setki, tysiące, ale gdy przyszło do samej pracy osadniczej, zabrakło złotych na kupno koloniście świń, czy paru kur obiecanych w kontrakcie".

„...Przysyłano przez Urząd Kolonizacyjny przeważnie lumpenproletarjat z wykolejonej inteligencji i robotnika". W tem i Niemców, wrogich Polsce.

By nadać większą moc swym słowom pani N. cytuje z broszury Dr. **Ad. Jarzyny, „Peru widoki dla osadnictwa rolnego na polskiej koncesji"**, ustęp o umowie zawartej z dyr. Warchałowskim.

„...jeżeli Kolonja Polska osiedli ..150 rodzin, wówczas Warchałowski otrzyma 50.000 ha, natomiast wedle § 3 kontraktu z Kolonją Polską przeleje na nią tylko 18.000 ha. W drugim roku przypadnie darmo Warchałowskiemu znowu obszar większy niż kolonji"...

Z szóstą grupą osiedleńców (nierolników) przyjechał sekretarz Kolonji w Warszawie Aleksander Kurowski jako dyrektor, a panujący na kolonji głód wtedy „spowodował okradanie pół-Indjan przez kolonistów polskich". Kurowski popijał z osiedleńcami w karczmie, a inicjatorem i wykonawcą rzetelnie pojętej pracy organizacyjnej był ks. Sokół, w którego ręce nie oddano odpowiedzialnego stanowiska dyrektora kolonji.

„Dobiega 4 rok od rozpoczęcia akcji peruwiańskiej. Nic nie zrobiono, aby użyć doli tych, których użyto do niesamowitego eksperymentu osadniczego. Długi u peruwiańczyków... zobowiązania wobec kolonistów niezapłacone... Winnych nie pociągnięto do odpowiedzialności"...

„...Walczy Dziewa z nędza w Brazylji, przeklinając chwilę, w której zachciało mu się zostać pionierem". Z nim wielu innych.

Poważna firma nakładowa wydała pracę p. Niedenthalowej Książka ta nieskonfiskowana, dotarła do rąk licznych czytelników, znalazła się w inwentarzu czytelń publicznych.

Przesmutne jej karty wzbudzą w licznych sercach bolesne refleksje. Czytelnicy z dniem każdym coraz cięże] odczuwający własne zubożenie poratują nietylko nieszczęsnych Dziewów zmarniałych w Peru, ale pożałują też i grosza zmarnowanego na próby koszmarne osadnictwa rolnego w Peru.

Nie uszczęśliwia nikogo, a jest szkodliwą propagandą zewnętrzną i wewnętrzną realizacja gwałtownych inicjatyw lęgnących się w głowach działaczy pełnych fantastyczności pozbawionych przygotowania naukowego. Oni działają cierpi za to całe obywatelstwo Polski.

Al. Żarat.

Kolorowe groteski filmowe

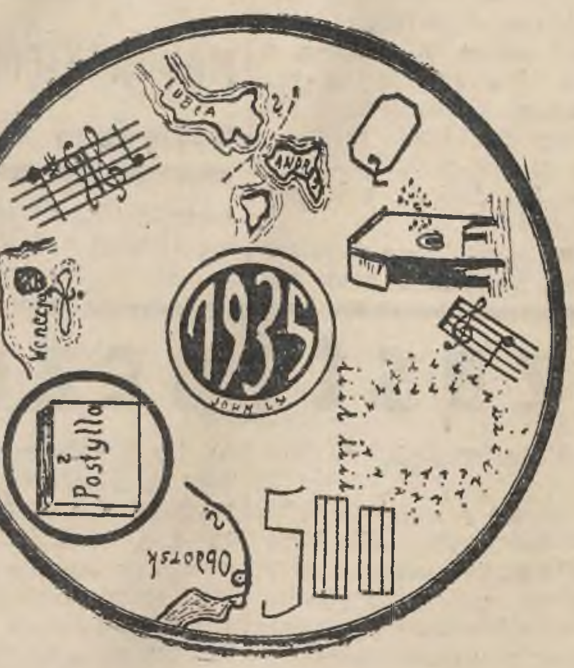
Wytwórnia Universal wypuściła na rynek pierwsze swe groteski rysunkowe w naturalnych kolorach. Bardzo oryginalne w pomyśle i świetne w ujęciu oraz wykonaniu stoją te minjaturowe filmy rysunkowe na najwyższym poziomie artystycznym.

—x—

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Rebus kołowy

(ułożył „John Ly")



Szarada

(napisała „Junona", czł. Klubu Szarad. WArszawa)

Płyną całe po miastach i wsiach,
płyną **całe** po ziemi calutkiej,
koją troski, cierpienia i strach,
leczą ból, niepokoje i smutki!
Płyną całe wśród lasów i łąk,
dzwonią pieśnią **sześć** wszystkich zakątkach .
serc modlitwa roztacza się wkrąg,
wielbiąc łaski Bożego Dzieciątka!
Słowa **próśb** nie rozwieją się w mgle
i nie przebrzmią bez **jeden-drugiego!**
Dziecię słyszy i spełni nam je.
Jego dłonie przed złem nas ustrzegą!
Pójdźmy zatem po radość i cód
pięć tej szopki dla wszystich otwarte,
gdzie skroń chylą królowi i lud
i dzieciny z włoskami jak **czwarty!**
Dziecię **trzy-dwa** swój naród i chce
wyprowadzić go z smutków ciemności!
Trzy-czwór-piąta! Zgłusz wszystko co złe,
niechaj pokój na ziemi zagości!.

Przestawianka-logogryf

(ułożył „John Ly")

1. Set+Koń+Paw organizacja polityczna (zdrobniale.)
2. Piki+Nos+Kot przyrząd optyczny.
3. Lok+Ewa+Tak zjawisko fizyczne.
4. Prom+Tuz+Oni interesowność.
5. Zakon+Owca+Ił choroba zwierzęca.
6. Komers+Piza+Jod autor utworów scenicznych.
7. Aga+Ar+Ni Wodospad.
8. Łuk+Era+Bal Grzezło
9. Kit+Len+Czy Lektor.

Z każdej trójki wyrazów proszę utworzyć jeden wyraz o podanem obok znaczeniu. Początkowe sylaby tych wyrazów dadzą przysłowie które można podać bez słów. pomocniczych.

Konikówka

(ułożyła Hel. Mokrzycka, Drohobycz)

	CO	W	SWO	
	KU	ŻE	KA	
KA	ŻDY	JEM	KÓŁ	DUCH
ZŁO	ŻY	CZYŃ	CA	MA
	ŁOŚĆ	SIĘ	BO	
	ŻY	A	SA	

Ruchem konika szachowego odczytać sentencję moralną, bardzo popularną.

Zagadka lawinowa

(ułożyła „Arja")

Zaczynając od jednej litery, dodawać po głosce tak, by przy stosownem zgrupowaniu liter powstawały wciąż nowe wyrazy o podanych znaczeniach.

1) Samogłoska. 2) Spółgłoska grecka 3. Okres czasu. 4. Osłona drzew (w l. mn.) 5. Uległy, skromny. 6. Insygnja monarsze, 7. Witamy go z otuchą (2 wyrazy.)

Szarada noworoczna

(ułożył „John Ly")

Już robi do nas **„pięć-pięć"** Nowy Roczek.
Pięć - dwa (bez końca) wabnym nas uśmiechem.
Sercem witamy **trzeciego** ochoczem,
bowiem w nie sączy nowych złud pociechę..
W ich **czwartej-drugiej** ożywczej się rzeźwim.
Wspak raz - wspak czwarty kwietnych oczekiwań
tak nas upaja, że na poły trzeźwi
radziśmy wierzyć, iż nas.. nie wykiwa..

Termin nadsyłania rozwiązań: 9 stycznia.

Nagroda do rozlosowania: interesująca powieść.

Rozwiązanie z nr. 346

Rebus: Wyborczy Komitet niekoniecznie jest wyborowym organem.

Szaradka: Maraton.

Łamigłówka podatkowa. Patent, drogowy, kryzysowy, przemysłowy, majątkowy, nieruchomości; lokatorski; dochodowy. kawalerski = Egzekutor.

Zagadka lawinowa: A, ar, car, raca, czara, tarcza, kartacz.

Zagadki: Hawanna, kapusta, armata, katastrofa, Faraon.

ROZWIĄZANIA NADESŁALI:

ze Lwowa pp. Arja, J. Kwiczoł, Eug. Dworski, Hel. Kowalska, M. Szydłowska, Ir-ka, M. Zygmuntowicz, „Biały Coś", R. Wit., Wład. G., Wanda Wolańska, Kazim. Cchęduszko, M. Angielczykowska, Br. Ostrowski, inż. J. W., Józ. Koberwein E. Boczarska, Wanda Smolicka, „Tato Krzysia", Zofja Kiernicka.

z Warszawy: pp. B. Bieńkowski, L. Ciesielski, Z. Galiński, J. Gill, J. Gilewicz, „Junona", R. Klimczak, Cz. Kozłowski; M. Sławnicki, Z. Słowikowski, „Trzynastka", W. Ustaszewski, M. Wysocka, Henryk Silczyński.

z prowincji pp. Kazim. Jurkiewicz (Śniatyn), Irena Senze (Żychlin), M. Lityńska (Przemyśl), Czesław Murczyński (Kraków), Tad. Dworski (Sanok), Marja Potocka (Sanok), Eug. Bochnówna (Żółkiew), Artur Kirkorowicz (Zakopane), I. Wilkowa (Rzeszów), „Tom" (Rzeszów); „Olga" (Jarosław), M. Alexandrowicz (Delatyn), M. Kański (Kralów), Hel. Mokrzycka (Drohobycz).

Nagrodę uzyskał p. **Czesław Murczyński w Krakowie.** Książkę wysyłamy.

Ze świata książki

Pisma Bolesława Prusa

Już się ukazał t. I. zbiorowego wydania Pism Bolesława Prusa, zawierający młodzieńczy utwór wielkiego pisarza pt. „To i Owo", który po raz pierwszy i ostatni opublikowany był w r. 1874.

Sądząc z tego pierwszego tomu, gebethnerowska edycja Prusa zapowiada się pierwszorzędnie: format okazały, stylowa, piękna okładka i oprawa. świetny druk, dobry papier, wielce staranna korekta — przy wyjątkowo taniej cenie w subskrypcji rokuje wydawnictwu niewątpliwe powodzenie.

Należy z najwyższem uznaniem powitać pełne wydanie pism najgeneralniejszego naszgo prozaika, które były dotych czas w szczególnem zaniedbaniu. Mnóstwo utworów marnowało się w rękopisie, najcenniejsze mniejszo utwory od dziesiątków lat wyczerpane, a co najważnijsza powieści: Lalka, Faraon itd. znane są nam jedynie z wydań, w których tekst by łzniekształcony przez cenzurę. To pierwsze zbiorowe wydanie Pism Prusa pokaże go nam w całej wielkości.

Tom I. poprzedza słowo wstępne Akademji Literatury, która nad wydawnictwem objęła protektorjat, pięknie wykonany w rotograwiurze nieznany portret Prusa, świetnie napisana, zwięzła praca prof. Ign. Chrzanowskiego o Prusie oraz przedmowa prof. Z. Szweykowskiego, który od lat sześciu opracowywał teksty do tej edycji.

Na „To i Owo" składa się 48 młodzieńczych utworów Bolesława Prusa, stanowiących organiczną całość. Przenoszą nas one w atmosferę i środowisko Warszawy z lat osiemdziesiątych zeszłego stulecia. Dosadny, bajecznie wesoły humor tych drobiazgów, stylowy wdzięk, dowcip miejscami złośliwy, miejscami naiwny, a zawsze pogodny, wyraźnie zarysowuje już „pazur" genjalnego humorysty. Jaka tu skarbnica powiedzionek, ile chwytów, które później strawestowane stały się typowe dla naszego dowcipu. Literaci, rzemieślnicy, uczeni, mieszczaństwo, arystokracja świat artystyczny przwija się barwnym korowodem, czarując oko i słuch czytelnika ablaskiem starych, dobrych czasów. Trudno znaleźć w literaturze naszej utwór, któryby z równą plastyką, z taką lekkością i fantazją wyczarował ów okres.

Odkładając na kiedyindziej szersze omówienie tomu, kończymy tę notatkę słowami Akademji Literatury: „Znowu będziemy się cieszyli ogromnym genjuszem tego pisarza, jego niewyczerpaną dobrocią, nieposzlakowaną prawością i uśmiechem bez goryczy. Bolesław Prus — to przepyszny konar z samego pnia polskości: najsłuszniej też cały naród otacza jego pamięć czcią i wdzięcznością.

Jan Szczepkowski: „Synowie buntu", powieść. (Księgarnia św. Wojciecha, Poznań). Autor doskonałych „Władców Kniei" przenosi nas tym razem w tak niedawne zdawałoby się, a tak już odległe czasy sprzed lat trzydziestu. Gimnazjum rosyjskie, tajna praca organizacyjna i oświatowa, przemycanie „bibuły" zza kordonu austrjackiego, prześladowania ochrany. W tem wszystkiem cicha, a jakże błogosławiona działalność R. Dmowskiego i J. Popławskiego — i wreszcie świt wolności, swobody, niepodległości.

Powieść nie ma w sobie nic z sensacyjności, — a jednak czyta się ją z prawdziwem zainteresowaniem, jako cenny przyczynek do historji ostatnich kilku dziesiątek lat.

Jerzy Bandrowski: „Rajski ptak" powieść. (Wyd. Księgarnia św. Wojciecha, Poznań). Powieść już przez to samo ciekawa, że za główny teren akcji obrał autor wieś wielkopolską, którą — jak to widać — studjował sumiennie i „con amore". Ciekawa i z innego powodu: Bandrowski porusza w niej szereg zagadnień ogólniejszych, jak kryzys kultury i twórczości, kwestję odpowiedniej literatury dla tego ludu wielkopolskiego, żądnego odpowiedniej, poważnej, a zdrowej strawy duchowej i t. d.

Piękna też jest idea przewodnia tej powieści, idea nawskroś szlachetna. Dobrze byłoby, gdyby Bandrowski opowiedział nam dalsze koleje życia swego bohatera Polaty, po jego przełomie duchowym.

Jadwiga Gamska - Łempicka: „Hymny średniowieczne". (Wyd. Filomaty, Lwów). Przekłady łacińskich hymnów średniowiecznych interesowały oddawna naszych poetów, żeby wspomnieć tylko F. Faleńskiego, Mickiewicza, a z nowszych Wyspiańskiego i J. Zahradnika z jego potężnym przekładem „Dies irae" chyba najpiękniejszym z istniejących. P. Gamska - Łempicka podjęła się pracy trudnej, pragnąc wskrzesić tych umarłych i poczęści zapomnianych pieśniarzy. Robi to z całym pietyzmem — i naogół dość szczęśliwie. Bardzo dobry jest pomysł paralelnego zamieszczania tekstu łacińskiego i polskiego, co ułatwia kontrolę i porównanie.

Obrazowanie miejscami zawodzi, gdy tłumacz odbiega zbyt swobodnie od tekstu, jak np. w „Pieśni wieczornej" (str. 33). Słabiej też wypadają hymny „archaizowane" („Dialogus Virginis cum Cruce"), — a przekład wspaniałego w swej grozie „Dies irae" nie sprawia właściwego wrażenia, spowodu swej zbyt kunsztownej, czy wyszukanej formy, zacierającej właściwy sens. Cytuję tylko dwa urywki: „Teste David cum Sibilla" brzmi w przekładzie: „Dawid rzekł — Sybilla pieje"... A w siódmej zwrotce wiersz: „cum vix iustus sit securus" znalazł swój odpowiednik w przekładzie: „gdy praw ledwie pewien pieczy". Trzeba się dobrze nagłowić, zanim uchwyci się właściwy sens tego wiersza (gdy zaledwie człowiek sprawiedliwy (prawy) jest pewny pieczy).

Rzecz uzupełnia obszerniejsza, interesującą rozprawa J. Birkenmajera o Hymnach i ich dziejach. (kr)

Polski podręcznik literatury rumuńskiej

Literatura rumuńska nie jest u nas znana szerszej publiczności. Powiedzmy szczerze, niewielu jest nawet krytyków literackich, lub nauczycieli literatury czy historji, którzy mają w tym zakresie pewne wiadomości. Niema jeszcze powodu do wstydu, bo literatura rumuńska nawet w oczach entuzjastów nie może uchodzić za jedną z wielkich literatur świata, jest młoda, a jej pierwociny nie przekraczają wieku szesnastego. Jest ona jednak warta poznania i daleko większe przedstawia rzeczywiste wartości, niżby się to mogło wydawać nieuświadomionym uprzedzeniom, bo wszakże tak często lekceważymy to, czego nie znamy.

Literatura rumuńska powinna budzić u nas większe zainteresowanie z dwóch powodów. Najpierw dlatego, że jest wyrazem Narodu, z nami sąsiadującego i zaprzyjaźnionego. Powtóre zaś z tego powodu, że literatura rumuńska w pewnym okresie rozwijała się pod wpływami polskiemi, a zatem, stwierdzając w naszej literaturze wpływy rozmaite, jest rzeczą wcale miłą sobie uświadomić, że i my tu i ówdzie zagranicą nadawaliśmy ton rozwojowi literackiemu.

Zdał sobie z tego sprawę p. Emil Biedrzycki, autor udatnej książki pt. **Zarys dziejów literatury rumuńskiej**, Lwów 1935.

Zmieścić dzieje literatury rumuńskiej na 128 stronach książki, przeznaczonej dla czytelników, nieznających utworów tej literatury, wymaga niemałego kunsztu. Nie można też brać za złe autorowi, że nie ze wszystkiem wyszedł obronną ręką z trudnego zadania. Przedewszystkiem należało sobie zdać sprawę, na których pisarzach trzeba skupić jak najwięcej światła, aby pozostawić w pamięci czytelnika obraz trwały. W dawnej literaturze takie miejsce powinien mieć **Cantemir** na przełomie wieków 17 i 18, który myśl rumuńską wyniósł daleko poza granice kraju, zyskując rozgłos na Zachodzie.

W literaturze nowszej zasługiwał na szersze potraktowanie **Alecsandri**, reprezentant romantyzmu rumuńskiego, poeta liryczny, twórca teatru, którego sztuki bywają ciągle grywane z powodzeniem. Nie należało także żałować miejsca, by wyjaśnić, jak wielką postacią w literaturze rumuńskiej jest **Eminescu**, poeta genjalny, mogący być ozdobą każdej literatury. Wreszcie pozycję bardzo wielkiego znaczenia stanowi **Caragiale**, którego utwory teatralne, a zwłaszcza komedja „List zagubiony“, zasługiwały na szczególne uwzględnienie.

Około tych i paru innych postaci należałoby zgrupować wzmianki o pisarzach, których mniej usilnie staramy się wrazić w pamięć czytelnika polskiego.

Taki wybór jest specjalnie trudny w zakresie literatury najnowszej. Ale i tutaj można było znaleźć stosowne rozwiązanie. Sam autor docenia, jak wielkie znaczenie ma współczesny powieściopisarz Sadoveanu. Tymczasem jednak Sadoveanu otrzymuje tylko ogólnikową charakterystykę, a jego twórczość nie została bliżej omówiona, „ponieważ, jak mówi autor, przekroczyła ona cyfrę 50 tomów“. Nie można tego uznać za rację wystarczającą, żeby nie wymienić ani jednego z tych 50 tomów znakomitego pisarza.

Wobec tego musi razić, że stosunkowo wiele miejsca poświęcono niejednemu poecie powojennemu i zamieszczono ich pokaźne podobizny. Chociaż Rumuni, jak wszyscy ludzie na świecie, chętnie przyjmują pochwały, to jednak w tym wypadku sami autorowie wyróżnieni czuliby się trochę zażenowani, zwłaszcza wobec zupełnego pominięcia innych, którzy na wymienienie zasługiwali. Żałuję np., że pominięty został Ibraileanu, znakomity krytyk i autor najlepszej chyba powieści psychologicznej w literaturze rumuńskiej pt. „Adela“.

W podręczniku p. Biedrzyckiego przegląd literatury poprzedzony jest wiadomościami wstępnemi o kraju, ludzie i języku rumuńskim. Wyjaśnienia o języku wypadły nader słabo. Lepiej było nie zapuszczać się daleko w teren niebezpieczny i uniknąć określeń, których nie zaaprobuje żaden filolog, np. „odmiana rzeczowników..., liczebniki i zaimki są prawie żywcem wzięte z łaciny“ (str. 17) i t. p., albo zupełnie mętny frazes o stosunku języka albańskiego do dackiego (str. 13).

Wogóle książka nie przedstawia wartości z punktu widzenia naukowego, ale też chyba nie ma w tym kierunku pretensji. Zamierzenia p. Biedrzyckiego są niewątpliwie skromniejsze, ale niemniej szlachetne: chce uprzystępnić czytelnikowi polskiemu, a zwłaszcza młodzieży szkolnej rzeczy im nieznane, a warte poznania. To zadanie książka niewątpliwie spełni. Owiana jest duchem prawdziwej i szczerej przyjaźni dla Rumunów, nauczy cenić Naród, od którego nic nas nie dzieli, a z którym wszystko nas łączy.

Książka zawiera na końcu małą antologię udatnych przekładów poezji rumuńskiej, które uzupełnią i uprzyjemnią studjum podręcznika.

Stefan Glixelli.

Anteny zastępcze

Antenę mogą zastąpić niektóre przewodniki metalowe, służące do zgoła innych celów. A więc będą to w pierwszym rzędzie przewody elektryczne sieci oświetleniowej, przewody telefoniczne dalej rury wodociągowe, gazowe, łóżko metalowe, struny fortepianu i t. p.

Oczywiście, że ustosunkowanie się przewodów sieci oświetleniowej, jeżeli one mają służyć za „antenę“, do rur wodociągowych, jako „ziemi“, jest decydujące dla działania tej anteny. Może się zdarzyć, co teoretycznie jest trudnem do przewidzenia, że antena taka w jednem miejscu działa bardzo dobrze, gdy w innem znów miejscu daje bardzo słabe wyniki. Najlepiej do tego celu dają się zastosować przewody sieci oświetleniowej czy też sieci telefonicznej, przeprowadzone na słupach (nie kablem podziemnym). Łatwo to zrozumieć, jeżeli uprzytomnimy sobie, że przewodnik taki tworzy doskonałą antenę zewnętrzną tylko zbyt długą.

By móc antenę przyłączyć do sieci oświetleniowej musimy zastosować kondensator stały, a to w celu: a) niedopuszczenia prądu z sieci; b) zmniejszenie pojemności anteny. Kondensator musi być wypróbowany na przebicie przynajmniej na napięcie 1000 Volt, a pojemność jego może się wahać od 300 do 1000 cm. Nie wolno używać przewodów będących pod napięciem wyższem niż 220 V., ze względu na bezpieczeństwo.

Regulują tę sprawę przepisy Polskich Norm Elektrotechnicznych, które mówią:.. „5. Kondensatory zaworowe przyrządu dołączonego powinny posiadać dielektryk z miki lub szkła. Kondensatory zaworowe o zmiennej pojemności, np. obrotowe, są wzbronione. 12. Urządzenie odbiorcze, korzystające z sieci prądu silnego, jako z anteny, mogą być bezpośrednio przyłączone zwykłego uziemienia do przewodów wodociągowych lub kanalizacyjnych. Nie wolno natomiast uziemiać przez połączenie z przewodami gazowemi, przewodami ogrzewania centralnego lub z siecią prądów słabych. 14. Sieć prądu silnego wolno użyć na uziemienie tylko w przypadku stosowania anteny wewnętrznej. W innych przypadkach jest to wzbronione“.

Przepisy na korzystanie z sieci telefonicznych jako z anten lub uziemień, mówią: „1) Radjoelektryczne urządzenia odbioru mogą być przyłączane do przewodów napowietrznych, do żył kablowych i do ołowianego płaszcza kablowego sieci telefonicznej, dla korzystania z tej sieci, jako z anten lub uziemień, tylko za pośrednictwem szeregowo włączonego kondensatora zaworowego o stałej pojemności nie większej od 1000 centymetrów. Przyłączenie bezpośrednie odbiorników do wyżej wymienionych części sieci telefonicznej lub przyłączenie wogóle odbiorników do jakichkolwiek innych części urządzeń telefonicznych jest wzbronione. 3. Odbiorniki radjoelektryczne mogą być przyłączone do przewodów i kabli telefonicznych tylko w pomieszkaniach zamkniętych. 6. Przyłaczanie urządzeń odbiorczych do przewodów lub żył w kablach telefonicznych w celu korzystania z nich jako z anten lub uziemień, powinno być wykonane przez personel sieci telefonicznej. 8. Gdy sieć telefoniczna zastępuje antenę, odbiorniki radjoelektryczne mogą być połączone ze zwykłem uziemieniem, z przewodami wodociągowemi, kanalizacyjnemi lub przewodami ogrzewania centralnego. Korzystanie jednak z rur gazowych lub sieci elektrycznej prądu silnego jest wzbronione. 9. Sieć telefoniczną wolno użyć na uziemienie tylko w przypadku stosowania anteny wewnętrznej. W innych przypadkach jest to wzbronione“.

Tych kilku wybranych przepisów Polskiego Komitetu Elektrotechnicznego musimy się trzymać przy instalowaniu anteny zastępczej dla radjoodbiorników. Najczęściej stosowaną anteną jest sieć oświetleniowa, to też w każdym sklepie ze sprzętem radjotechnicznym możemy dostać kondensatorek zaopatrzony we wtyczkę do gniazdka kontaktowego, pod nazwą „anteny świetlnej“.

S. K. W.

„O lekkiej“ muzyce w radjo

Muzyka „lekka“ zwyciężyła w Polskiem Radjo na całej linji, naturalnie, tylko ilościowo. Wobec znaczenia, jakiego nabrała muzyka lekka w radjo, zaistniało zagadnienie wielkej formy, nieznane muzyce lekkiej przed radjem: w dorobku muzycznym pozostawała ona na szarym końcu, a przytułkiem jej, (nieraz zewnętrznie wspaniałym,) była kawiarnia, lub dawne kino. Dopiero, gdy muzyka lekka łączyła się z kompleksem elementów wzrokowych sceny, stwarzała większą formę, czasem o niepoślednich nawet wartościach: operetka zdołała zdobyć kilka nieśmiertelnych pozycyj (Offenbach, Strauss). Uwertury operetek, oddzielone od teatru, przedstawiają jedyną większą, samodzielną formę muzyki lekkiej; walory konstrukcyjne uwertury, jako formy, pozwoliły, przy banalnej treści, kompozytorom operetek, które już dawno zejść musiały z afisza, stworzyć temi wstępami do operetek, samodzielne utwory o nieprzemijającej wartości (Suppé). Uwertura, (podobnie, jak cykl numerów w wiedeńskim walcu, należący do typu „potpourri“), — to formy większe; przerastające rozmiarami inne utwory „lekkie“, ale; pod względem rozciągłości, jeszcze nie — wielkie.

Problem wielkiej formy muzyki lekkiej jest dziś w radjo — otwarty. Transmisja operetki z teatru, równie jak zradjofonizowana operetka ze studja, żądając od słuchacza pomocy przez pamięciowe, lub fantazyjne wyobrażenia akcji, mogą dać tylko połowiczne wrażenie: radjosłuchacz musi uzupełnić w wyobraźni cały splot elementów wzrokowych sceny, grę aktorów, ich mimikę, ruchy; obrazy sytuacyj, dekoracje, barwy i t.d. Rozpoczęto więc w dziale tym poszukiwania za nowemi możliwościami, nowemi formami, które zrodzone z warunków radja, nie potrzebowałyby już uzupełnienia w wyobraźni słuchacza; wysunęło się w muzyce lekkiej zagadnienie formy muzycznej, która, nie żądając od słuchacza czynności fantazji, dawałaby jednak urozmaicony szereg różnorodnych w charakterze utworów muzyki lekkiej. Sięgnięto do typu „potpourri“, szeroko je teraz rozbudowując i oddając mu do dyspozycji ciało wykonawcze, którem dotąd rozporządzała operetka: orkiestra, chór, soliści biorą udział w nowem radjowem ptopourri.

Forma ta, a raczej zlepek utworów nie kieruje się, coprawda, w następstwie swych cząstek koniecznością czysto muzyczną; pozytywną wartością może tu być, przy dowcipnem zastosowaniu, tylko humorystyczny moment niespodzianki. Jednak w dobrze przygotowanem wykonaniu wielkiegoi zespołu: orkiestry, chórów, solistów, potrafi taka szeroko rozbudowana „mozaika“ muzyczna dać słuchaczowi, pragnącemu muzycznych przeżyć operetki, miłe wrażenia, może tem milsze, że zwalniają jego wyobraźnię z obowiązku współpracy.

W radjofonji polskiej wprowadził tę formę **Tadeusz Seredyński**, kapelmistrz rozgłośni lwowskiej; jego „wiedeńskie potpourri“ nadaje Lwów raz w miesiącu na wszystkie rozgłośnie Polskiego Radja. U miłośników lekkiej muzyki cieszy się ten nowy typ audycyj wielkiem powodzeniem. Po sukcesie, jaki odniósł Seredyński pierwszą taką audycją w wrześniu b. r., nadał potem Lwów wielkie potpourri „Od Straussa do Lehara“ w układzie Seredyńskiego, a ostatnio tegoż „Wesoły Wiedeń“. Zręcznie powiązane tematy „asów“ muzyki lekkiej (Offenbach, Strauss, Suppé, Kalman, Lehar; Stolz i in.) następują w tych potpourri po sobie, jak w barwnym kalejdoskopie, ukazując coraz inną niespodziankę. W parze z tą grą tematów idą udatne zmiany wykonawców: zwiększona orkiestra salonowa, chór rewellersów „Wesoła piątka“ (pod dyr. Z. Lipczyńskiego), lwowski „kwartet Schramla“; solista p. Jasłowski łączą się w wielkie ciało wykonawcze, to znów rozdzielają w grupy, lub sola, ukazując w tych różnych kombinacjach wielkie bogactwo barw dźwiękowych tego zespołu.

U zwolenników, lekkiej muzyki zdobył Seredyński swemi potpourri trwałą pozycję. A choć zżyma się przy słuchawkach poważny muzyk, odczuwając w następstwie cząstek potpourri naturalny w tej formie brak wewnętrznych imperatywów konstrukcji, jedno musi się stwierdzić: potpourri Seredyńskiego są znów świadectwem przodującej w tylu działach radjofonji polskiej — roli Lwowa.

(f.)

W starożytnej Retrze

Niemiec średniowieczny pochłonął Słowian zachodnich bez śladu. Pochód germanizmu od morza niemieckiego i Łaby, aż poza Odrę, postępował ku wschodowi nieubłaganie i bez przerwy, trwał długie wieki, często natrafiał na bohaterski, ale zawsze nieszczęśliwy opór i zwyciężył. Cały świat chrześcijański ze swem rycerstwem pomagał Niemcom w tych podbojach. Słowiańszczyzna zaś nie znajdowała nigdzie pomocy. Poszczególne ziemie słowiańskie, rozdarte waśniami, zwalczały się wzajemnie i ginęły zdradą wśród tych walk i wzajemnych niechęci. Niemcy umieli podsycać te waśnie, podstępnie, przy pomocy wypróbowanych metod prowokowali walki domowe a własne barbarzyństwa przypisywali Słowianom, przedstawiając ich ówczesnemu światu chrześcijańskiemu jako fanatycznych pogan, barbarzyńców i dzikich ludzi, zjadających własne dzieci.

A ówczesna kultura Słowian była o wiele wyższa, jak ówczesnych ludów germańskich na ziemiach Słowian zachodnich panował niebywały dobrobyt i sam Helmond w swojej kronice dziwi się, że na ziemi słowiańskiej nie spotkał się nigdzie z żebractwem, a wszędzie goszczono go niezwykle suto i gościnnie.

Niemieccy kronikarze opisują nam z podziwem ówczesne bogactwa i sztukę Słowian, ich starożytne miasta, jak samnetę, Wolin, Rujanę, albo Rugję, Wielkigród, Starogród. Retrę i inne, podziwiając w tych miejscowościach kunsztow ne budowle, nawet jednopiętrowe, piękne rzeźby i malowidła i to, co ich najwięcej zaciekawiało, stare pismo słowiańskie, runy, które znajdowali we wszystkich świątyniach i grodach.

Wszyscy zaś niemieccy kronikarze unoszą się nad wspaniałością pogańskiej kontyny w Retrze, w której Słowianie czcili bożka Radzigoszcza albo Radegasta.

Dytmar merseburski tak ją opisuje: „Jest pewne miasto w ziemstwie Riderierum, nazwiskiem Ridegost, trójkątne, zawierające w sobie trzy bramy, które otacza wielki bór, dotychczas nietknięty." Następnie opisuje, że dwie bramy tego miasta stoją zwykle otworem dla licznych pielgrzymów, trzecia zaś od wschodu prowadzi do wielkiego jeziora. Tu misternie z drzewa wystawiono świątynię, która spoczywa na podstawie, wyobrażającej rogi różnych zwierząt. Zewnętrzne ściany tej świątyni ozdobiono licznemi, cudownie wykonanemi rzeźbami i malowidłami, które przedstawiają bóstwa, ptaki i zwierzęta. Nad tem wszystkiem króluje promieniste słońce. Wszystko tak zewnątrz, jak wewnątrz wykonano ręcznie z wielką sztuką a każde takie malowidło lub rzeźbę opatrzono nazwą bożka, ptaka lub zwierzęcia. W świątyni znajdują się liczne sztandary, wynoszone tylko w czasie wojny, a zwykle strzegą ich witezie w hełmach i zbrojach.

Adam bremeński tak mówi o Retrze: „Największe miasto Retarów nazywa się Retra, siedziba bałwochwalstwa. Posąg Radegasta, bożka ich, jest złoty, łoże purpurowe. Miasto posiada 9 bram i otacza je głębokie jezioro. Do świątyni przechodzi się drewnianym mostem."

W żywocie błogosławionego Ottona, biskupa bamberskiego czytamy, że świątynie pogańskie przystrojone były ze sztuką podziwienia godną i licznemi wizerunkami ludzi, ptaków i zwierząt, które tak wykonano, że zdaje się, iż żyją i oddychają. „A nazwałbym to cudem, pisze kronikarz, że żadna wilgoć, deszcz czy śnieg nie zmazał ani nie przyćmił kolorów tych malowideł, co zawdzięczały umiejętności mistrzów."

Słowianie składali w tych kontynach od wieków złoto, drogie kamienie, broń i wszystko, co posiadało wartość i było pamiątką zwycięskich wojen. Każdy zaś kronikarz podnosi, że Słowianie gardzili złotem i drogiemi kamieniami.

Niemcy, zdobywając ziemie słowiańskie, niszczyli skrzętnie i doszczętnie ślady kultury słowiańskiej. Mimo tego, gdy się na podstawie źródeł historycznych porówna kulturę germańską ze słowiańską, musi się przyznać wyższość uciemiężonej Słowiańszczyźnie.

Helmond w swej kronice tak pisze: „Cały kraj Obotrytów razem z innemi sąsiedniemi krajami stał się pustynią, wskutek ciągłych wojen". A potem dodaje: „Tak wspierał Bóg pobożnego księcia i stwierdzał prawa jego."

Późniejsi zaś Niemcy dodawali, że ziemie słowiańskie to pustynia nędzna, pusta i uboga, pełna dzikiego zwierza i dzikich pogan, a równocześnie podkreślali, z jaką to ofiarnością, trudami i niebezpieczeństwami zaprowadzali chrześcijaństwo wśród Słowian. Jednego nie mogli dokonać, a mianowicie, nie potrafili zniszczyć własnych kronik, złożonych w archiwach Rzymu.

skt.

Z minionych dni

(W setną rocznicę śmierci Boieldieu)

Rok, który mija obecnie, obfitował w denerwujące wstrząsy i katastrofy, w przerażające kataklizmy gospodarcze spośród których wyłaniał się cały ogrom upadku moralnego, jaki przechodzi świat powojenny. W roku tym jednak przeżywali miłośnicy tonów niejedną wzniosłą chwilę, odsłaniającą im niestrudzoną pracę i doniosłe czyny wielkich umysłów muzycznych.

Gdzie tylko sztuka znajduje zrozumienie, tam wszędzie odbywały się manifestacje i obchody składające hołd sędziwemu jubilatowi, który przekroczywszy siedemdziesiątkę, przez pół wieku trzyma sfery artystyczne w nieprzerwanem napięciu.

Mam na myśli Ryszarda Straussa.

Raz darzył on nas nieokiełzanym humorem, ironją, dyszącą szatańskim temperamentem, to znów w innych partjach swoich poematów symfonicznych wznosił hymny na cześć majestatu przyrody. Ale duch, rwący w nieznane, niedługo upaja się tajemniczą melodją i pięknym kolorytem orkiestry. Strauss staje się nagle wielkim odkrywcą, wkracza w świat oszałamiających huraganów instrumentalnych, nie uchylając się od fantastycznych połączeń dźwiękowych: politonalnych jak i atonalnych. Wybuch geniuszu jego to perwersją przepojona „Salome", w którem to arcydziele zarówno jako kolorysta orkiestralny, jak i mistrz w zastosowaniu kontrapunktu na tle błyskotliwej ornamentacji wschodniej święcił niebywałe triumfy. W dobie obecnej, słuchając jego dramatów muzycznych, i mając na myśli wspaniały wyczyn ogromnego talentu, widzimy w nim genjalnego impresjonistę, wpadającego wprawdzie chwilami w destrukcyjny pow.ew czasów ostatnich, mimoto jednak zawsze wielkiego i godnego kontynuatora ideologji wagnerowskiej.

* * *

Na szerokiej arenie świata muzycznego częściej niż kiedykolwiek — w związku z rocznicą śmierci — padało także nazwisko Ferrucio Busoni'ego zmarłego przed dziesięciu laty. Niejeden koncert przepojony był mistyczną fantastycznością oraz prawdziwie mistrzowską grą barw kompozycyjnych tego „mistrza fortepianu".

Gazety i pisma rozpisywały się również szeroko o różnych innych jubileuszach i manifestacjach muzycznych niestety jednak nawet w Polsce za mało mówiono o przedwczesnie zmarłym Mieczysławie Karłowiczu, ! tragedja z przed lat 25-ciu pod Małym Kościelcem poszła już częściowo w niepamięć. Białe śmierć i te Tatry, które Karłowicz tak ukochał, zabrały nam jednego z największych polskich symfonistów i z nim razem runęła w przepaść subtelna dusza, rozdźwięczona najidealniejszą sztuką.

* * *

Gdy mowa jednak o wielkim kompozytorze franc. Franciszku Adrien Boieldieu, zm. 1834, musimy się wyłamać z pod jarzma nowoczesności i przenieść w czasy, kiedyto we Francji obawiano się, że zabrzmi znów syren głos o braterstwie, równości i wolności. Rządy Napoleona nie wykorzeniły w zupełności idei rewolucyjnych a na stępcy jego, zapomniawszy o niedawnych strasznych wydarzeniach, prowadzili ze swem otoczeniem żywot lekkomyślny, igrając z ogniem nieświadomie. Naród francuski rozbawiony „panowania nad Europą" burzył się i mącił, a wśród malkontentów wytwarzał się pewien opór i niechęć do legitymistycznych rządów oraz instytucyj. Idee socjalistyczne coraz wyraźniej zarysowywały się pośród młodzieży i robotników i nowo powstałe systematy dążyły do przekształcenia całego społeczeństwa.

Boieldieu...

Świeżo polatujący, srebrzysty śnieg okrywał białym puchem okolice St. Pol w północnej Francji. Nad starem zamczyskiem Thierry unosiła się uroczysta cisza nadchodzącej godziny snu. Światła gasły po kolei, służba znikała, zamykały się podwoje. Tylko w olbrzymiej bibliotece ktoś chodził wolno to znów przystawał jakby słuchając bicia własnego serca. Długie chwile pełzły leniwie. W dziwacznie załamanym promieniu księżyca stanęła postać i zanurzyła się wgląb myśli bezdennych. „Le roi est mort, vive le roi". Każą mu operę komponować, aby uświetnić uroczystości wstąpienia na tron brata zmarłego Ludwika XVIII....

Ale tekst do „Pharamond" nie odpowiada muzykowi; w swej bujnej wyobraźni widzi on tylko chaos nutowy, polegający na niewdzięcznie wiążących się rytmach. Opuścił ręce i w niemej bezradności czekał ciosu, który zdawał się wznosić ponad nim...

Wtem drgnął.... Na ścianie, w czarnych ramach wisiał portret, zdradzający styl szkoły Rubensów i Van Dyck'ów; melancholijny cień otulał piękny wizerunek kobiety w bieli, powiewnie zawoalowanej. Boieldieu wtapiał się chciwemi oczyma w przedziwny czar, który ten obraz wywierał, pragnąc przeniknąć aż do głębi smutną tajemnicę przeszłości. Słyszał tylko, że skończyła śmiercią tragiczną, że ludzie obawiali się spoglądać na ten wizerunek, a głucha wieść twierdziła, że osoba na nim przedstawiona pojawiała się często w godzinach północy.

Gdzieś w dali wznosić się zaczęło dwanaście uderzeń! Lodowaty powiew trwogi targnął wrażliwą duszą kompozytora, bo oto szła ku niemu, stworzona w rozgorączkowanej wyobraźni, spowita w widmowe blaski księżycowego królestwa...

Gdy oprzytomniał, bibljotekę zalegał półmrok, a księżycowe światło poczęło ustępować porannej zorzy. U stóp kompozytora leżało w artystycznym nieładzie kilkanaście zapisanych arkuszy nutowych, a dogasające głownie w kominku rzucały słaby blask czerwony na pospiesznie skreśloną balladę: „Prenez garde, prenez garde, la dame blanche vous regarde"...

W niespełna rok od tej chwili wykończył Franciszek Boieldieu swe największe dzieło sceniczne i „Biała Dama" stała się klasycznym typem dawnej francuskiej opery. Jej rozgałęzione harmonie jej rozszeptany wdzięk i dowcip, właściwe cechy francuskiego temperamentu, łączą się z żywem wcieleniem najwewnętrzniejszych myśl i uczuć kompozytora. Jego muzyka pełna plastycznej wymowy wywołująca ducha w tajemniczych okolicznościach, działa porywająco swą subtelną i figlarną kapryśnością i po dziś dzień napełnia słuchaczy słodkiem rozmarzeniem.

Janina Strzemboszówna.

Egzotyczne zwierzę

Włoski oficer Attilio Gatti spędził pięć miesięcy w dziewiczym lesie Ituri w belgijskiem Kongo. Szereg artykułów, jakie ogłosił za powrotem, opisuje zabobonnych i nieprzystępnych krajowców i fantastyczną przyrodę afrykańskiej puszczy. Wedle miejscowych informacyj, żyje tam małpa, większa od goryla i pokryta rudym włosem, podobnym zupełnie do ludzkich włosów. Gatti widział podobne stworzenie, ale nie miał czasu stwierdzić tych szczegółów. Głównym jednak celem obserwacji była okwapi czyli okapi (Gatti uważa, że pierwsza nazwa lepiej reprezentuje wymowę krajowców) i śmiałemu podróżnikowi udało się schwytać żywcem okaz tego rzadkiego zwierzęcia, czem dotychczas nikt nie mógł się pochlubić.

Okwapi należy do rodziny giraffidae, ale stanowi coś pośredniego między znaną nam żyrafą, antylopą, a przedhistorycznem samotherium z okresu plioceńskiego.

Głowa zwierzęcia, długa a cienka, jest ciemno czerwona, tułów w prążki czarne, białe i bronzowe, nogi od kolan w dół białe z branzoletką koloru kości słoniowej w kostce. Całość nie tylko przyczynia się do urody okwapi, ale też zapewnia jej niedostrzegalność z odległości większej, niż jakich 5 metrów. Cała bowiem maść jest idealnym przykładem mimicry. Las afrykański ma ciemną, prawie czarną i grzbiet okwapi zlewa się z nią w jedną całość — trzeba pamiętać, że na wysokości jakich dwóch metrów gęstwina jest największa. Białe i czarne pręgi tułowia i nóg świetnie naśladują liście, przez które przebijają się promienie słońca, wreszcie srebrno-białe pończochy odpowiadają warstwie zeschłych liści, pokrywającej ziemię.

Okwapi stara się też zawsze utrzymać swe futerko w nieskalanym stanie. Ma może ze wszystkich zwierząt największe zamiłowanie do czystości.

Oczy ma okwapi ogromne a ruchliwe. Każde z nich może się, niezależnie od drugiego, obracać w różne strony, więc zwierzęciu nie grozi nigdy niespodziewany napad. Zresztą nie zwykło ono uciekać przed żadnym nieprzyjacielem. Ma potężne żylaste nogi — do obrony używa zwykle tylnych — i rogiem pokryte czoło, którem uderza z wielką siłą.

Jest to stworzenie odważne. Gatti schwytał dwumiesięczne lub dziesięciotygodniowe cielę, wysokości metra i wagi mniej niż pięćdziesiąt kilo. Umieścił je w wysokiem ogrodzeniu drewnianem i posłał do odległej osady Irumu po karmicielkę. Miała nią być olbrzymia krowa afrykańska. Przez chwilę stała ona spokojnie, przyglądając się małemu stworzonku, mniejszemu od siebie jakich dziesięć razy. Ale gdy cielę zaczęło dobierać się do wymion, krowa wpadła w wściekłość. Odskoczyła na kilkanaście kroków, nastawiła straszliwe, krzywe rogi i rzuciła się na okwapi. Lecz małeństwo nie okazało bynamniej strachu. Nie ruszyło się z miejsca i było gotowe od walki. Gatti'emu udało się w ostatniej chwili zapobiec katastrofie a po jakimś czasie między oboma zwierzętami ustalił się przyjazny stosunek.

P. S.

ŚWIAT KOBIECY

Narty - brydż - dancing

Wchodzimy w sezon zabaw i sportów zimowych. I choć dotychczas zima niełaskawa na narciarzy, — pociągi sobotnie i niedzielne uwożą w góry dziesiątki i setki miłośników i miłośniczek tego pięknego a zdrowego sportu.

Z kostjumem niema kłopotu. Obowiązują tu ustalone oddawna kanony: długie spodenki, wcięta „olimpijka", jumper, czapka, szalik, rękawiczki i przepisowe bucikI.

Spodenki przeważnie ciemno - granatowe. Bluzka tego samego koloru, albo też w innym, jaskrawym kolorze: czerwona, — w szerokie barwne pasy, — a nawet w jaskrawe szkockie desenie.

Tak samo i w szalikach można puścić wodze fantazji, zależnie od tego, w czem komu najlepiej „do twarzy". Czapki rozmaitego kształtu: okrągłe, spiczaste, „tyrolskie", oraz szczególnie modne w tym sezonie „rosyjskie".

Bridż - dancing cieszy się i nadal wielką popularnością, — choć wydawałoby się, że te dwa pojęcia wykluczają się wzajemnie. Czyż bowiem prawdziwy, stuprocentowy bridżista „poniżyłby się" do opuszczenia stolika dla jakiegoś tam walca czy „karioki"? A jednak — jak się zdaje — i w nadchodzacym karnawale „kombinacja" ta będzie miała duże powodzenie.

Kombinacja, nawiasem mówiąc, bardzo praktyczna i pożądana, — zwalnia nas bowiem od wydatków związanych ze sprawieniem specjalnej toalety balowej. Na innem miejscu podajemy model eleganckiej sukni, nadającej się na podobne zebrania, nawet w liczniejszem kółku.

A teraz parę słów pod adresem tych pań, które mogą sobie pozwolić na jedną strojniejszą suknię wieczorową: Suknia taka (bez względu na to, z jakiego materjału jest zrobiona) powinna być... czarna! Jest to kolor, zawsze jednako modny, jednako dystyngowany. Sukni taką nie „opatrzy" się nigdy, — zwłaszcza, że można, niewielkim kosztem, za każdym razem zmienić jej wygląd zapomocą różnych drobiazgów.

A więc przedewszystkiem sztuczne kwiaty: herbaciane róże w pasie lub przy dekolcie, — wiązanka białych kwiatów przypięta do pasa, — płaska girlanda, zataczająca linję stanu z tyłu.

Dalej oryginalne guziki i klipsy ze szlifowanego szkła, o motywach zaczerpniętych ze świata fauny i flory, nieraz bardzo fantastycznych. Rękawy odwrócone, na jasnych lub lamowych podszewkach, peleryuki koronkowe, szerokie barwne szarfy, wreszcie tak modne i ładne kasaki. Tyle rozmaitych kombinacyj, — każda inna, dająca duże pole pomysłowości i fantazji!

A jeśli która z pań posiada jeszcze jakąś gronostajową cape, — może być pewną, że nawet przy jednej tylko czarnej sukni prezentować się będzie i modnie i elegancko.



Elegancka suknia wieczorowa z białej crepe-georgette

Jeszcze o odpowiedniem ubraniu

Tym razem powołujemy się na zagranicę:

W Paryżu zawiązała się specjalna liga, która postawiła sobie za zadanie przypomnieć ludziom elementarne prawidła nietyle może elegancji, co dobrego tonu i noszenia ubrania odpowiedniego do okoliczności. Liga liczy kilkaset członków obojga płci, — z których co wieczór kilkanaście osób (mężczyźni w czarnych ubraniach, panie w sukniach wizytowych) zjawia się w jakimś teatrzyku czy restauracji lub nawet kinie, by własnym przykładem działać niejako wychowawczo.

A świeżo dopiero w poczytnym wiedeńskim dzienniku „Neues Wiener Journal" znajdujemy apel do kobiet, by podjęły się roli wychowawczej wobec mężczyzn, nie dbających zupełnie o swój strój. Wieczorem — pisze dziennik — obowiązuje ciemne lub czarne ubranie, biała koszula i biały twardy kołnierzyk. Kolorowe koszule i miękie kołnierzyki dopuszczalne są tylko przy ubraniach sportowych.

Podobną akcję podjęto też i w Belgji.

Notujemy te fakty, jako „znak czasu".



Toaleta do ślubu

I pod tym względem odbiegliśmy daleko od dawnych klasycznych wzorów.

Miejsce przepisowej białej sukni zajmują ciężkie brokaty srebrzyste, tafta, lama, o delikatnych srebrnych nitkach.

Wieczorem obowiązuje długi tren. Welon długi, upięty nad czołem. Miejsce tradycyjnego wianuszka zajmuje djadem z brylantów, pereł lub kwiatów, w najrozmaitszych kombinacjach.

Jako charakterystyczny szczegół podkreślić należy, że w toalecie ślubnej dominuje przedewszystkiem srebro. Moda ta przyszła z Paryża. Że zaś „argent" znaczy również dobrze „srebro" jak i „pieniądze"; — zatem możnaby w tej nowej modzie dopatrywać się pewnego symbolu...

Z WYDAWNICTW

Bluszcz nr. 50, ilustr. tygodnik kobiecy, zawiera treść bardzo bogatą i urozmaiconą. W artykule wstępnym „Kryzys feminizmu" znajdujemy oryginalne myśl i uwagi na ten, tak aktualny zawsze temat.

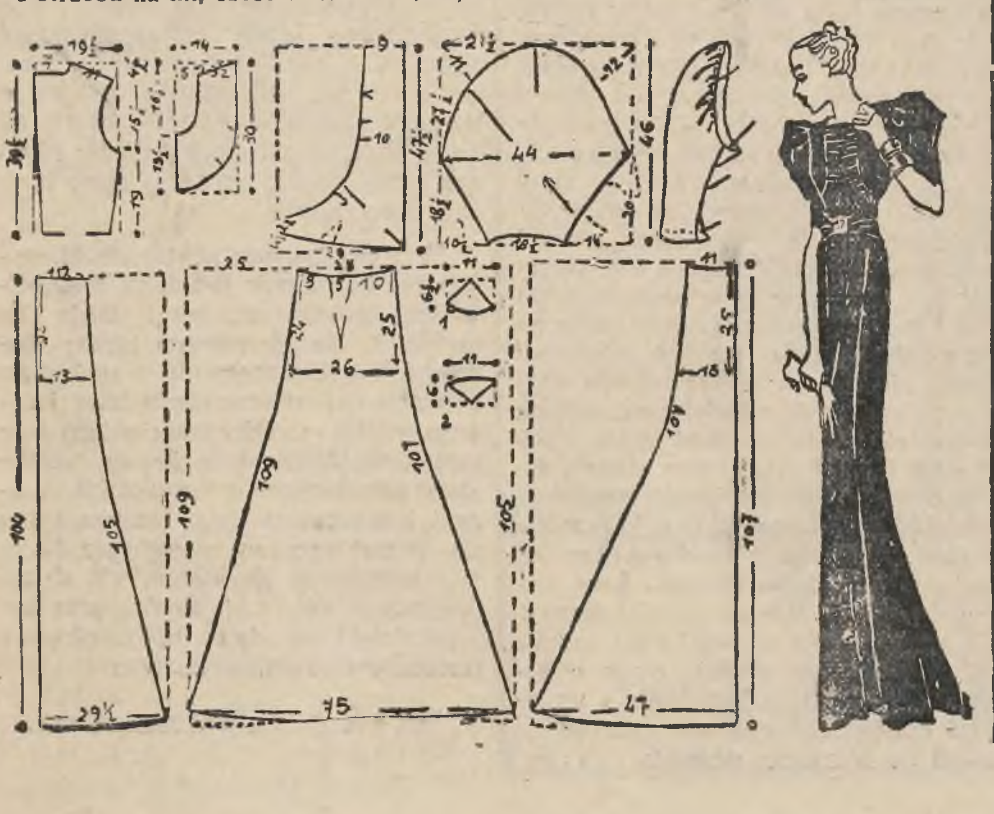
Bardzo ciekawie zapowiada się fragment powieści H. Boguszewskiej i J. Kornackiego „Posesja 697 A". Miłośniczki egzotyki zainteresuje art. „Czarna niańka" Pozatem zwykłe rubryki: przegląd prasy, polityka, teatr, kobieta w świecie i w domu, ogrodnictwo; dom; i gospodarstwo; — wreszcie przepisy na ciasta świąteczne i bogaty dział mody z licznemi ilustracjami.

Elegancka suknia wieczorowa

Dajemy dziś model eleganckiej sukni odpowiedniej na zebrania w ściślejszem kółku, na kolację czy partję bridża. W przeciwieństwie do strojnych toalet na zabawy taneczne, gdzie obowiązuje tren, duży dekolt i gołe ramiona, — suknia taka, długa do ziemi, ma maleńki dekolt i rękawy do łokcia.

Potrzeba na nią sześć mtr. materjału, szerokości 1 mtr., — może być równie dobrze aksamit, jak jedwab, faille, czy lama. Krój skośny, dlatego trzeba uważać, by nie rozciągać materjału; krajać najlepiej na dużym stole, nie na kolanach.

Rękawy, krajane również skośnie, są u nasady bardzo szerokie, nad łokciem zupełnie wąskie.



Poradnik dla gosposi

Przekładaniec czekoladowy

Potrzeba: 125 gr. masła, 250 gr. mąki, 250 gr. miałkiego cukru, trzy jajka, pół filiżanki mleka, 5 łyżeczek tartej czekolady oraz odpowiednią ilość drożdży lub proszku do pieczywa.

Do masła ubitego doskonale dodajemy cukier, kolejno trzy żółtka, następnie mąkę i drożdże. Dobrze wymieszać i przerabiać przez dwadzieścia minut, dodając następnie mleko i ubite białko z trzech jajek.

Całą masę dzielimy na dwie połówki; do jednej z nich dosypujemy tartą czekoladę.

Do wysmarowanej masłem foremki nakładamy na przemian warstwę ciasta z czekoladą i bez niej — i wstawiamy do pieca na godzinę. Po upieczeniu wyjąć z formy i podawać po zupełnem ostygnięciu.

Babka chlebowa

Chleb, może być razowy, ususzyć w piecyku na kość, utrzeć na mąkę (utłuczonego chleba powinno być 1/4 kg.) przesiać, poczem skropić kieliszkiem wina, wymieszać i pozostawić. Tymczasem ubić trzepaczą 8 żółtek z 1/4 kg. cukru, dodać 1/2 łyżeczki utłuczonego cynamonu utartą skórkę pomarańczową lub cytrynową, wymieszać lekko ze sztywnie ubitą pianą z pozostałych 3 białek, dodać chleb, włożyć do wysmarowanej masłem formy i piec wolno godzinę. Zamiast winem, można chleb skropić śmietanką, lub sokiem z kompotu.

Polędwica po angielsku

1 i pół kg. polędwicy wyżyłować i obrać z tłuszczu, natrzeć solą i skropić sokiem z 1/2 cytryny na pół godziny przed pieczeniem. Rozgrzać w rondlu 10 dkg. masła, położyć polędwicę i smażyć na ostrym ogniu z obu stron. Kiedy polędwica nabierze koloru, wsunąć na pół godziny do pieca, polewając często masłem po wierzchu. Gdy zrumieni się ładnie, krajać na półmisku ostrym nożem w cienkie plastry; powinien płynąć z niej różowy sok. Po wierzchu polać masłem, w którem się piekła.

Podając polędwicę ugarnirować ją różnemi jarzynami i paszteccikami z francuskiego ciasta.

Wątróbka po indyjsku

Zasmażyć łyżkę tłuszczu na patelni, dodać jedną pokrajaną w plasterki cebulę, łyżkę siekanej zielonej pietruszki i dwie lub trzy łyżki drobno pokrajanej wędzonej słoniny. Pokrajać wątróbkę cielęcą na kawałeczki wielkości palca, a gdy tłuszcz na patelni kipieć zacznie, wrzucić wątróbkę na patelnię i smażyć, aż się dobrze zrumieni, często przewracając, poczem wątróbkę wyjąć, wyłożyć na gorący półmisek i postawić na piecu, aby nie ostygła. Pozostały na patelni sos przecedzić, patelnię spłukać gorącą wodą i wlać przecedzony sos napowrót i postawić na ogniu; dodać łyżkę mąki utartej z łyżką masła i gotować mieszając, aż sos będzie przedstawiał gładką brunatną masę, a wtedy dolać pół filiżanki wrzącej wody, sok, z pół cytryny i łyżeczkę drobno usiekanego kwaszonego ogórka, zagotować i polać wątróbkę.

ZARDZEWIAŁE NOŻE czyści się doskonale, zanurzając je na dziesięć godzin w kwaśnem mleku. Następnie myje się w wodzie z mydłem.

—x—